

Krajobraz
naszego
ubóstwa

Peter Singer:
zwierzę istotą
czującą i myślącą

Kontenerowa
polityka
mieszkaniowa

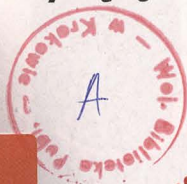
GMU
to
nie to

PRZE KROJ

NR 35 (3503) / 27 SIERPNIA 2012 / CENA 3,99 ZŁ

WWW.PRZEKROJ.PL

w tym 8% VAT



Solidarność

Solidarność czas zacząć!

INDEKS
371424

9 770033 248205

ISSN 0033-2488

35 >

SUKCES



Nowy numer już w sprzedaży, a w nim:

- Sir Jonathan od iPada
- Operacja „Samum”. Jak było naprawdę?
- Od wizjonera do milionera



**POBIERZ APLIKACJĘ
NA SWÓJ TABLET**



www.sukcesmagazyn.pl



**PRZE
KROJ**

Założył w roku 1945
w Krakowie redaktor
Marian Eile

NIE PISZEMY O TYM, ŻE...

... **prezydent Komorowski**, ku zaskoczeniu również wielu wojskowych notabli, zapowiedział budowę polskiej tarczy antyrakietowej za jakieś, bagatelą, 15 mld zł. Może przekuć stadion na tarczę?

... **legendy o zarabianiu na wynajęciu Stadionu Narodowego** zderzyły się z żywiołem strażackim, kiedy okazało się, że zjazd strażaków pod egidą ich generała Waldemara Pawlaka odbędzie się w narodowej kawiarence za przysłowiową złotówkę. W takim tempie na odzyskanie nakładów nie starczy tysiąclecia.

... **lekarze i Główny Inspektorat Sanitarny** przygotowują zakaz korzystania z solarów dla niepełnoletnich.

... **zwłoki Anny Walentynowicz**, która zginęła w katastrofie smoleńskiej, zostaną ekshumowane.

... **tuż przed oddaniem władzy prezydenckiej w Warszawie** Kazimierz Marcinkiewicz zmienił osobiście lokalizację stacji metra Powiśle. Z sensownej na tuż nadwiślaną. Może tam powstanie jakieś osiedle?

... **szympanś Kanzi**, znający 450 słów, zaczął budować proste narzędzia z kamienia i patyków.

... **że marszałek województwa podkarpackiego Mirosław Karapyta** „wyparł” majestatem swojej władzy innego pasażera z lotu lot-em z Rzeszowa do Warszawy. Marszałek chce z Rzeszowszczyzny zrobić drugą Kanadę, leciał do ambasadora.

**LAST MINUTE
KRZYSZTOF PŁYTA**

*Początek szkoły: dzień,
w którym dzwonek
ściąga młodzież,
a nie odwrotnie.*

W TYM TYGODNIU

MAREK RACZKOWSKI



ROMAN KURKIEWICZ

Obraza uczuć żołnierskich

Sąd w Środzie Wielkopolskiej wydał precedensowy wyrok na internautę za skomentowanie polskiej obecności w Afganistanie: „A niech giną! Kto kazał im tam jechać, napaść i mordować Afgańczyków?”. Sąd uznał, że oskarżony 62-latek z Kórnika naruszył art. 52a Kodeksu wykroczeń: „publicznie nawołując do przeciwdziałania przemocą aktowi stanowiącemu źródło powszechnie obowiązującego prawa Rzeczypospolitej Polskiej”, i skazał go na minimalną karę 100-złotowej grzywny. Człowiekiem, który złożył doniesienie, jest żołnierz w stopniu sierżanta, uczestnik kilku misji do Iraku i Afganistanu. Sierżant tropiciel internautów, którzy krytycznie, niekiedy w brutalnych słowach, opisują polską obecność w tych misjach wojennych, otrzymał wsparcie werbalne ministra obrony narodowej i koncernu zbrojeniowego Bumar.

Nie mieliśmy w kraju ani debaty, ani wpływu na decyzję kolejnych polskich rządów o wysłaniu żołnierzy do Iraku czy Afganistanu. Nie znam żadnego polskiego powszechnego prawa uzasadniającego polską przemoc wojskową w Afganistanie i wcześniej w Iraku.

Wojsko i żołnierze biorący udział w misjach muszą usłyszeć, że dla wielu osób nie są bohaterami, że biorą udział w złej sprawie, często w interesie USA, że nie bronią w żaden sposób Polski przed realnym zagrożeniem i że są okupantami przynoszącymi cierpienie, upokorzenia i śmierć.

A sąd, który próbuje kneblować usta krytykom (bo żadnego nawoływania do przemocy w wypowiedzi skazanego internauty po prostu nie ma), wydał antykonstytucyjny, nieprzemyślany i haniebnny wyrok.

Polacy do domu, sędziowie po rozum!

MAREK RACZKOWSKI

PRZED WSZYSTKIM



PRZEKROJ

GREMI GRUPA

ADRES REDAKCJI: ul. Prosta 51, 00-838 Warszawa, 22 463 30 300, www.przekroj.pl, e-mail: doredakcji@przekroj.pl lub imie.nazwisko@przekroj.pl REDAGUJE ZESPÓŁ: Roman Kurkiewicz (redaktor naczelny), Aleksandra Bilewicz, Katarzyna Czarnańska, Patrycja Dołowy, Julia Kubisa, Magda Papuzińska, Jacek Tomczuk, Klementyna Suchanow, Maria Świątek ROZMAITOŚCI, KRZYŻÓWKI: rozrywka@przekroj.pl, Marcin Pleszczyk, Kaliber 45 PROJEKT GRAFICZNY: Kasper Skirgajło-Krajewski PRACOWNIA GRAFICZNA: Andrzej Figatowski FOTOREDAKCJA: foto@przekroj.pl, Katarzyna Serek, Franciszek Mazur KOREKTA: Ling Brett OBRÓBKA ZDJĘĆ, PRZYGOTOWANIE DO DRUKU: Bogumiła Kreczmańska, Bartosz Wójcik, Tomasz Kieras, Krzysztof Rzeszutek STRONA INTERNETOWA I IPAD: serwis@przekroj.pl, Cezary Niewiarowski, Renata Wróbel WYDAWCA: PRESSPUBLICA SP. Z O.O. ul. Prosta 51, 00-838 Warszawa PROMOCJA I MARKETING: Agnieszka Gajzer - Dyrektor Marketingu i Rozwoju, Michał Krześniak - Kierownik Marki (michal.krzesniak@presspublica.pl) BIURO REKLAMY: Presspublica sp. z o.o. ul. Prosta 51, 00-838 Warszawa; faks: 22 628 05 88, 22 463 00 00; automatyczna cełnia telefoniczna: 22 463 00 00 numer wewnętrzny; łączenie przez telefonistkę 22 463 30 300 DYREKTOR DZIAŁU AGENCyjNEGO: Filip Weichert - 22 463 01 88 reklamainfo@presspublica.pl druk: RR Donnelley.

- 8 **Żeby Związek był związkiem.** O powrocie etosu solidarnościowego, polityce i strajku generalnym mówi **Julii Kubisie** i **Romanowi Kurkiewiczowi** przewodniczący NSZZ „Solidarność” **Piotr Duda**
- 13 **Ostolski:** Assange, kobiety i sprawa polska
- 14 **Ubóstwo dzieci jest niewidoczne.** – Część osób żyjących w skrajnej biedzie nie ma prawa do pomocy, co nie powinno mieć miejsca. Rozumiem, że państwo ma jakieś swoje wyliczenia, ale trzeba zabrać środki z innych celów i pomóc tym najbardziej potrzebującym – mówi **prof. Elżbieta Tarkowska** w rozmowie z **Adamem Szymczykiem**
- 18 **Skontenerowane kwatery.** Kontener służy do transportu towarów lub składowania śmieci. Nieoczekiwanie stał się również narzędziem segregacji ludzi według statusu społeczno-ekonomicznego – pisze **Katarzyna Czarnańska**
- 20 **Niewolniczy biznes więzienny.** – Wzrastająca liczba więźniów zaczęła napędzać gospodarkę w USA. W stanie Nowy Jork więzienia buduje się w strefach, gdzie pojawiają się problemy ekonomiczne – mówi **Dorothy Dillard** w rozmowie z **Alanem Lockwoodem**
- 23 **Ziomecki:** My i nasze państwo – cd.
- 24 **Makowski:** Pojednanie na ołtarzu nienawiści
- 24 **Hubert Klimko-Dobrzaniecki:** Jak Władek z Józkiem fajkę pokoju palili

CYWILIZACJA OD ŚRODKA

- 26 **Zwierzę czuje i myśli.** – Jeśli istnieje podejrzenie, że zwierzętom dzieje się krzywda, to złamanie prawa – włamanie się na fermę przemysłową, do rzeźni lub do laboratorium – jest usprawiedliwione. By udokumentować i ujawnić, co się tam dzieje – mówi australijski filozof etyki **Peter Singer** w rozmowie z **Katarzyną Biernacką**, prezeską stowarzyszenia Empatia
- 28 **GMO – ślepa uliczka.** – Problem globalnego głodu nie bierze się ze sprzeciwu ekologów wobec upraw roślin modyfikowanych genetycznie, ale ze złej dystrybucji żywności – przekonuje dyrektor Greenpeace Polska **Maciej Muskat** w rozmowie z **Bartłomiejem Kozkiem**
- 30 **Jakie zwolnienie przy stole.** Ruch Slow Food, prezentowany podczas Zielonego Jazdowa w warszawskim Centrum Sztuki Współczesnej, powstał jako przeciwwaga dla przemysłowo

produkowanej żywności, zabijającej lokalne tradycje kulinarne. Czy jest on jednak powszechnie dostępną alternatywą dla jedzenia z supermarketu? – pyta **Agata Hummel**

- 32 **Poszukiwacze przycisku.** Korporacyjny Wielki Brat marzy o zagłębieniu do naszych mózgów, by łatwiej sprzedać nam to, co ma do sprzedania – udowadnia **Tomasz Borejza**
- 34 **Sipowicz:** Narodowy narcyz w popsutym kraju brazy

KONIEC Z KULTURĄ

- 36 **Wisła – kraina niczyja.** Przez lata Warszawa odwracała się od rzeki. Dziś życie wraca nad Wisłę, a artyści – na przykład kolektyw fotograficzny Sputnik w projekcie „Miejsce odległe” – inspirować się jej tajemnicą, ukrytą naturą – opowiada **Jacek Tomczuk**
- 39 **Opowieść domów.** Warszawska Saską Kępą to niespotykane nagromadzenie świetnej architektury – mówi **Magdalena Piwowar**, architektka i graficzka, twórczyni książki-przewodnika „SAS. Ilustrowany atlas architektury Saskiej Kępy”, w rozmowie z **Katarzyną Kazimierowską**
- 40 **Pływanie z Mironem.** Z **Pawłem Passinim** i **Hanną Nowak-Radziejowską** – twórcami przedstawienia „Port Miron”, którego premiera odbędzie się 1 września podczas festiwalu Przemiany – rozmawia **Patrycja Dołowy**
- 42 **Dialog rzemiosła z designem.** Sześciu rzemieślników, sześciu designerów, sześć obiektów. Fundacja Form i Kształtów realizuje w ramach festiwalu Przemiany projekt „6x6”, który ma zwrócić uwagę na niedocenianą pracę szewców, szklarzy czy krawców – zaprasza **Patrycja Dołowy**
- 44 **Piątek:** Ryżowe i różowe perspektywy
- 45-49 **Wojciechowski** daje piątkę książkom **Henry’ego Jamesa**. **Chudoliński** chwali i krytykuje komiksy o **Batmanie**. **Nizinkiewicz** cieszy się z nowej płyty zespołu **Flapjack**. **Majmurek** docenia film Pabla Gígellego „**Akacje**”. **Szymczyk** poleca grę „**Dragon’s Dogma**”.

ZAWSZE W PRZEKROJU

- 3, 4, 35, 49, 50 **Raczkowski**; 35 **Też pytanie**; 49-50 **Rozmaitości z krzyżówką**

PRENUMERATA TYGODNIKA „PRZEKROJ”

PRENUMERATA REDAKCYJNA Cena prenumeraty 2012 r.: roczna: **166,40 zł**, półroczna: **83,20 zł**, kwartalna: **41,60 zł** Zamówienie na prenumeratę należy składać e-mailem: prenumerata@przekroj.pl lub faxem: 22 621 22 61. Dodatkowe informacje pod nr. tel. 800 120 105 PRENUMERATA KOLPORTERSKA oddziały Ruch SA, www.prenumerata.ruch.com.pl, urzędy pocztowe PRENUMERATA e-WYDAŃIA www.egazety.pl PRENUMERATA ZAGRANICZNA Ruch SA www.ruch.pol.pl; 22 693 67 75, 22 693 67 82, 22 693 67 18

DOSTĘP NA STRONĘ WWW I WERSJĘ NA IPADA

Cena abonamentu na iPad’a i w Internecie: tygodniowy – **3,69 zł**, kwartalny – **30,75 zł**; roczny (z rabatem 30 proc.) – **99 zł**. Do wykupienia na www.przekroj.pl oraz w App Store. Informacje: wsparcie@przekroj.pl



Artykułów niezamówionych nie zwracamy. Redakcja zastrzega sobie prawo do zmian i skrótnów w nadesłanych artykułach i listach.



Okladka: MS

RZECZPOSPOLITA

Konkurs „Rzeczpospolita” dla firm

Wspieramy profesjonalny rozwój małych i średnich przedsiębiorstw

podaj e-mail Twojej firmy

Wejdź na rp.pl/konkurs

Odbierz nagrodę »

o wartości 500 zł

Odbierz nagrodę gwarantowaną
Pakiet Profesjonalny lub Pakiet Publicystyczny

Odpowiedz na pytanie i zagraj
o wycieczkę życia oraz ekskluzywne zegarki



Meksyk Kenia Indie
wybierz egzotyczny kierunek

rp.pl/konkurs

ŚMIERĆ Z PLATYNY

Ponad 40 strajkujących górników z kopalni platyny Marikana zastrzeliła południowoafrykańska policja w najgorszym akcie przemocy od zakończenia apartheidu. Firma Lonmin, właściciel kopalni, wzywa wszystkich strajkujących do powrotu do pracy – na razie bezskutecznie

Strajk w kopalni Marikana na północy RPA przybierał na sile od jakiegoś czasu. Zaczęło się, kiedy około 3 tys. górników – operatorów wiertel – odmówiło pracy, opuściło kopalnię i założyło obozowisko. Protestujący domagali się trzykrotnej podwyżki oraz poprawy warunków pracy. Obecnie zarabiają ok. 4 tys. randów (1 tys. zł) miesięcznie. Wielu z nich mieszka w lepiankach, bez elektryczności i bieżącej wody. Tysiące innych pracowników kopalni poparło strajk, ale zarząd uznał go za nielegalny, wezwał policję i zagroził górnikom zwolnieniami. Doszło do starć pomiędzy uzbrojonymi – „dla samoobrony”, jak tłumaczyli – w paki i maczety górnikami, a policją wyposażoną w broń palną, gaz łzawiący i helikoptery. Zginęło 10 osób, w tym dwóch policjantów.

Szefowie obu najważniejszych, ale konkurujących ze sobą górniczych związków zawodowych – NUM i AMCU – pojawili się na miejscu, ale nie udało się doprowadzić do rozejmu. Joseph Mathunjwa, prezes AMCU, odradzał policji interwencję siłową, ostrzegając, że zakończy się ona ofiarami. Po kilku dniach sytuacji patowej, 16 sierpnia, policja otworzyła ogień do zgromadzonych górników – jak twierdzą jej przedstawiciele – „w obronie własnej”. Sfilmowana akcja trafiła do Internetu i zszokowała świat. W bezwzględnej strzelaninie zginęło co najmniej 34 osoby, rannych było nie mniej niż 78. Około 250 osób aresztowano pod zarzutami zabójstwa, pobicia i kradzieży. Po stronie policji był lekko ranny jeden policjant. Prawdopodobna wersja wydarzeń jest taka, że sprowokowani przez strajkujących policjanci rozpylili gaz łzawiący, a następnie zaczęli strzelać – być może w panice – do chaotycznie uciekających górników.

Po masakrze strajk w Marikanie przybrał na sile. Zarząd kopalni wydał oświadczenie, że górnicy, którzy nie zjawiają się rano w pracy, zostaną dyscypli-

narnie zwolnieni. Pomimo tego na swoich stanowiskach pojawiła się zaledwie jedna czwarta z 28 tys. zatrudnionych. „Nie mamy nic do stracenia. Będziemy walczyć o pensję, z których da się żyć. Raczej zginie, jak nasi towarzysze, niż odpuszczymy” – powiedział gazecie „South African Times” protestujący Kaizer Madiba. „Jesteśmy bardzo zdenerwowani. Lonmin nie traktuje nas jak ludzi. Nie zrobili nic dla lokalnej społeczności. Zabierają naszą platynę i bogacą się. A co my z tego mamy?” – powiedziała BBC pracowniczka fabryki w Marikanie. Prezydent RPA Jacob Zuma powołał specjalną ministerialną komisję śledczą. „Prawo do protestu jest jedną z podópór naszej ciężko wywalczonej demokracji” – powiedział, nazywając masakrę „szokującą i nieakceptowalną”. Zuma zarządził też tydzień żałoby narodowej i wezwał firmę Lonmin, by w tym czasie nie stosowała żadnych sankcji wobec protestujących górników.

RPA ma największe zasoby platyny na świecie, a zarejestrowana w Londynie korporacja Lonmin jest jej trzecim największym wydobywcą. W wyniku kryzysu ceny tego surowca spadły, co spowodowało straty firm wydobywczych i zwiększyło napięcia pomiędzy właścicielami kopalni a górnikiem. Bezrobocie w RPA wynosi około 25 proc., a wśród ludzi poniżej 25. roku życia aż 51 proc.

Od dawna mówiło się w RPA o narastającej brutalności policji, ale masakra w Marikanie była pierwszą od 20 lat tragedią na taką skalę. Wielu południowoafrykańskich komentatorów zauważa, że strzelanie do protestujących tłumów to metoda rodem z czasów apartheidu. W czwartek przed Ambasadą RPA w Warszawie odbyła się demonstracja solidarności z górnikiem z Marikany. Skandowano m.in.: „Najpierw ludzie, potem zyski!”.

KRZYSZTOF PACEWICZ



OSKARŻONA: KORA

Prokuratura Rejonowa Warszawa-Żoliborz w dniu 21 sierpnia 2012 r. skierowała do sądu akt oskarżenia przeciwko „wokalistce jednego z zespołów muzycznych”. Czytamy w nim: „Olga J. jest oskarżona o posiadanie w dniu 12 czerwca 2012 r. w swoim mieszkaniu w Warszawie, wbrew przepisom ustawy o przeciwdziałaniu narkomanii, środków odurzających w postaci ziela konopi innych niż włókniste (marihuany) w ilości 2,83 g, tj. o czyn z art. 62 ust. 1 ustawy z dnia 29 lipca 2005 r. o przeciwdziałaniu narkomanii”.

Dla przypomnienia: do domu Kory Jackowskiej doszła przesyłka wysłana z USA i zaadresowana na jej psa, Ramonę. W środku był susz, który wcześniej wywahał policyjny pies o nieznanym imieniu. Celnik w towarzystwie policji dokonał rewizji w domu piosenkarki. Tę sytuację partner Kory, Kamil Sipowicz, opisał tak: „Przyszło dziewięć osób, przeskoczyli przez płot. O świcie zapukali kolbami do drzwi”.

Za posiadanie niecałych 3 g grozi Korze do trzech lat więzienia, chyba że prokurator zastosuje się do nowelizacji ustawy narkotykowej z kwietnia 2011 r., zezwalającej na posiadanie nieznacznej ilości środków odurzających na użytek własny, pod warunkiem że sąd nie ustali, że jest się dilerem. Ustawa nie określa jednak, jaką ilość uznaje się za „nieznaczną”.

Piotr Wygoda/EAST NEWS



dia woreczek z próbką suszu podobnego do trawy i pokazał, jak wyglądają 2 g, za których posiadanie oskarżona jest Kora. Poseł Dera denerwował się, że propaguje on na antenie narkotyki, a „narkotyki to śmierć”. Poseł PiS Tomasz Kaczmarek, znany jako agent Tomek, nie ograniczył się do słów oburzenia – przeszedł od razu do czynu. Jako widz programu powiadomił policję, że Dolecki posiada zakazane ziolo. Funkcjonariusze pojawili się w siedzibie TVN, nie stwierdzili jednak w woreczku substancji psychoaktywnych. Wzorowa czujność obywatelska pana posła poszła na marne.

KS

POGWAŁCENIE CZCI ZGWAŁCONYCH

Republikanin Todd Akin, który zszokował amerykańską opinię publiczną stwierdzeniem, że „prawomocny gwałt rzadko prowadzi do ciąży”, to nie pierwszy polityk, który lekceważąco odnosi się do ofiar gwałtów.

Afera wybuchła 19 sierpnia, gdy w wywiadzie dla lokalnej telewizji KTVI kongresmen z Missouri na pytanie, dlaczego opowiada się za zakazem aborcji nawet, gdy ciąża jest wynikiem gwałtu, tłumaczył: „Z tego, co mówią lekarze, ciąża w wyniku gwałtu jest naprawdę rzadka. Jeśli jest to prawomocny gwałt, to kobiecy organizm ma sposoby, żeby to jakoś zablokować”. Przeciwno szerzeniu tak bzdurnych twierdzeń natychmiast zaprottestowało Amerykańskie Towarzystwo Ginekologów i Położników, a organizacja The Rape, Abuse & Incest National Network szacuje, że ponad 32 tys., czyli około 5 proc. cięż w USA, jest wynikiem gwałtu.

Senatorsa skrytykował też prezydent Barack Obama, stwierdzając: „Gwałt jest gwałtem. (...) Te komentarze pokazują, że w polityce powinno być więcej kobiet, ponieważ mężczyźni nie powinni sami podejmować decyzji w ich imieniu”. Warto dodać, że w nadchodzących wyborach do Senatu rywalką Akina jest demokratka Claire McCa-

Kamil Sipowicz, który kończy pracę nad kolejną książką o historii konopi i środowisku hippisów w Polsce, sam zgłosił się do prokuratury w sprawie oskarżenia Kory, by wyjaśnić, że „niewielką ilość marihuany przechowywanej w domu traktował jako materiał badawczy służący do zdjęć i opisów”. W środę 22 sierpnia Sipowicz skrytykował w programie TVN24 działalność prokuratury, ścigającej za małe ilości marihuany. „Nikogo do palenia nie namawiam, ale człowiek jest tak skonstruowany, że próbuje różnych rzeczy. A najgorsza rzecz to kryminalizowanie młodych ludzi za jednego skreśła” – powiedział.

Rozmowy o marihuanie kontynuowali Andrzej Dolecki, szef Wolnych Konopi, i Andrzej Dera, poseł Solidarności Polskiej. I właśnie politycy dopisali do tej dyskusji puentę. Dolecki przyniósł do stud-

SOPOT POD LUPĄ SZTUKI

Wystawy w przestrzeni miejskiej, Grand Hotel obok Grand Hotelu i musical Nouvelle Vague – to tylko niektóre z atrakcji na 1. Artloop Festival w Sopocie

Między 6 a 9 września Sopot zamieni się w galerię sztuki współczesnej. Idea pierwszej edycji festiwalu Artloop jest „otwarcie miasta na sztukę i sztukę na miasto” poprzez akcje z zakresu sztuk wizualnych, designu i muzyki.

Program Artloop podzielony został na sekcje. Najważniejsze to „Urbanator” (sztuka w przestrzeni miejskiej i design), „Screen” (kino i sztuki wizualne) oraz „Soundspace” (muzyka i sztuka). Jednym z najciekawszych projektów w części „Urbanator” będzie zlokalizowana w różnych miejscach w centrum Sopotu wystawa „Kurort” (Maurycy Gomulicki, Jarosław Kozakiewicz, Julieta Wójcik). Jest ona skupiona na „kurortowości” miasta jako miejsca rekreacji, wypoczynku i rozrywki. To okazja do zastanowienia się nad tym, na ile kurort jest ogólnodostępny, jak widzą go mieszkańcy. Na placu Przyjaciół Sopotu stanie zaś Grand Hostel – specjalny wielofunkcyjny obiekt-instalacja zaprojektowany przez Filipa Kozarskiego. Stanowi on swoistą przeciwwagę dla słynącego z luksusu sopockiego Grand Hotelu. „Ma promować rozwiązania ekonomiczne, niskobudżetowe, alternatywne i ekologiczne” – piszą organizatorzy. Pokoje w jego wnętrzu staną się polem działań architektów i designerów.

W sekcji „Screen” zobaczymy w plenerze filmy prezentujące związek kina ze sztuką. Soundspace, scena muzyczna festiwalu, powstała z myślą o odbiorcach muzyki alternatywnej. Nie będzie jednak zwykłych koncertów, lecz wydarzenia z pogranicza muzyki, teatru i sztuk performatywnych. Ukoronowaniem programu stanie się francuski zespół Nouvelle Vague z musicalem „Dawn of Innocence” (Świt niewinności), powstałym we współpracy z projektantem mody Jeanem-Charles'em de Castelbajakiem. Wystąpią także Pictorial Candy i Mary Komasa.

W ramach Artloop nawiązano współpracę z krakowskim Grolsch Artboom Festival. W jej wyniku krakowscy i sopoccy artyści prezentują u siebie nawzajem swoje prace.

Na wszystkie wydarzenia, oprócz sceny muzycznej, wstęp wolny.

Więcej na: www.artloop.pl

EO

ARKTYKA TOPNIEJE

Pokrywa lodowa na Morzu Arktycznym znika w zaskakującym tempie. Jak podał „The Guardian” (23 sierpnia 2012 r.), w ciągu najbliższych kilku dni osiągnie najniższy poziom w historii, przekraczając ostatni rekord z 2007 r. Od połowy miesiąca lód topniał w tempie 100 tys. km kw. na dzień. Obecnie pokrywa lodowa Arktyki stanowi 50 proc. tej z 2005 r. Naukowcy nie spodziewali się, że zmiany w okolicy biegu na północnego przybiorą tak dramatyczny przebieg. Obecnie twierdzą, że do 2050 r. Morze Arktyczne będzie pozbawione lodu. Oznacza to, że globalne ocieplenie ma ogromny wpływ na klimat w regionach polarnych, a w konsekwencji na całą planetę.

AB



Żeby Związek był związkiem

O powrocie etosu solidarnościowego, polityce i strajku generalnym mówi Julii Kubisie i Romanowi Kurkiewiczowi przewodniczący NSZZ „Solidarność” **PIOTR DUDA**

Julia Kubisa: Kiedy będzie strajk generalny?

– Taki strajk na pewno moglibyśmy przeprowadzić, przynajmniej ostrzegawczy, ale nie mamy prawnej możliwości. Gdyby ludzie zastrajkowali, to pracodawca by ich po prostu zwolnił. Nie możemy zrobić strajku generalnego wobec rządu polskiego, tak jak związki w innych krajach, bo zabrania nam tego ustawa o związkach zawodowych. Możemy toczyć spory zbiorowe z pracodawcami i strajk może być tylko przeciwko pracodawcy. A nie chcemy stosować na razie innych form protestu, jak np. blokady. Bo czy my utrudnimy życie Tuskowi? No nie. Utrudnimy życie pracownikom i społeczeństwu. A ja mówię, że społeczeństwo jest z nami, a nie przeciwko nam.

Roman Kurkiewicz: Jeśli problemem jest ustawa, to kiedy ona w końcu zostanie zmieniona?

– Na razie prowadzimy rozmowy dotyczące tak zwanej reprezentatywności. Jeżeli w jednym zakładzie pracy jest 40 związków zawodowych, to bez dwóch zdań jest to patologia i na to trzeba znaleźć rozwiązanie. Nie może być tak, że związek zawodowy, który w 10-tysięcznym zakładzie pracy liczy 10 członków, ma takie same prawa jak związek, który zrzesza ponad 50 proc. załogi. Bo niekiedy te związki, tak zwane kanapowe, po prostu są destrukcyjne. Z drugiej strony reprezentatywność musi dotyczyć też polskich pracodawców. Przecież oni zasiadają w Komisji Trójstronnej, a zrzeszają 1,5–2 proc. wszystkich pracodawców w Polsce. A do tego ich reprezentatywność nie równa się zdolności układowej. Przykładowo jeżeli jest w danej branży reprezentatywny pracodawca i ma zdolność układową, to musi usiąść i rozmawiać o ponadzakładowych układach zbiorowych pracy – tak się dzieje w Skandynawii, →



Adam Chelstowski/FORUM

→ w Niemczech. Na przykład w Niemczech nie ma kodeksu pracy, bo są tam układy zbiorowe pracy. Związkowcy w tych krajach mają drugą stronę do zawiązywania tych układów, a my jej po prostu nie mamy.

J.K.: Kiedy my będziemy mogli należeć do związków? My, czyli osoby, które pracują w kilku miejscach, mają wolny zawód, nie mają umowy o pracę?

– Półtora roku temu wystąpiliśmy jako Komisja Krajowa ze skargą do Międzynarodowej Organizacji Pracy, że Polska łamie prawo, uniemożliwiając zrzeszanie się osobom z wolnych zawodów, samozatrudnionych. MOP przyznała nam rację i otrzymaliśmy odpowiedź, że rząd Polski musi dostosować ustawę o związkach zawodowych, ponieważ jest to dyskryminacja tych ludzi. Mam nadzieję, że to pismo będzie początkiem zmian. Ale to dopiero połowa sukcesu. Co z tego, że będzie pani w związku i będzie pani płaciła składkę, jak ja nie będę miał możliwości rozmawiać w pani imieniu z pani pracodawcą? Problem jest ogromny, bo w Polsce mamy 3 mln osób pracujących – jak to nazywamy – pozakodeksowo. Dzisiaj nie chcemy do nich mówić: „Zapisz się do związku, zapłać składkę”. A on potem zapyta: „A w czym mi możecie pomóc?”. No w niczym. W Skandynawii sytuacja pracowników jest bardzo dobra, ale tam 80 proc. należy do związków. Związek traktują jak firmę ubezpieczeniową. Płacą składkę na wszelki wypadek i jeśli coś się dzieje, mają konkretną pomoc. W Polsce też musimy do tego dojść. Często niestety jest tak, że młodzi ludzie nagle zakładają związek, bo coś się dzieje, a na drugi dzień już ich nie ma w zakładzie pracy.

R.K.: Pisaliśmy w „Przekroju” o historii z Inicjatywa Pracownicza, który zresztą w formalny sposób przeprowadzał akcję protestacyjną oraz strajk, i strajkujący zostali wyrzuceni z pracy.

– Pseudopracodawcy, bo tu nie można mówić o pracodawcach, wychodzą z założenia, że jak się utraci głowę liderom, obojętnie pod jakim pretekstem się ich zwolni, to związku już nie ma. A sprawa w sądzie potrwa pół roku lub nawet półtora, a później ewentualnie wypłaci się mu odszkodowanie. Niektórzy pracodawcy wolą nawet dać i 100 tys. zł, byle się go pozbyć z zakładu pracy. Ci pseudopracodawcy nawet szkolą się wzajemnie. Wiem doskonale, że chociaż jest to łamanie ustawy, przestępstwo, są szkolenia, jak nie dopuścić do działalności związków zawodowych w zakładzie pracy.



Filip Białejowski/FORUM

R.K.: nszz „Solidarność” zorganizował zbiórkę podpisów w sprawie referendum o reformie emerytalnej, zebraliście z mln podpisów, które rząd odrzucił

– Sondaże pokazują, że już 70 proc. ludzi negatywnie ocenia rząd. Podobnie z referendum emerytalnym. To jest skandal, żeby w tak ważnej sprawie dla społeczeństwa, gdzie 85 proc. ludzi opowiada się przeciwko wydłużeniu wieku, wprowadzać zmiany w ciągu trzech miesięcy. Widocznie rząd mówi – my mamy władzę i nikt nie będzie nam mówił, co jest lepsze. Rząd pokazał nam w ten sposób, gdzie jest nasze miejsce – na ulicy. Ja to przyjmuję. Dzisiaj polska demokracja kończy się na wrzuceniu kartki do urny. Później jest już tylko czteroletni dyktat. Dlatego to, co spotkało nasz związek i te 2 mln obywateli, którzy podpisali się pod wnioskiem o referendum przeciwko podwyższeniu wieku emerytalnego, to największy skandal. Tego nie zapomnimy. Najbardziej boli, że zrobili to ci, którzy tak chętnie powołują się na ideały „Solidarności”. Według

nich związek zawodowy „Solidarność” powinien dzisiaj być zamknięty w gablocie na klucz i cicho siedzieć. Było, wywalczyliście, a teraz tam – do muzeum. I co z tego, że nasza konstytucja mówi, że w Polsce nie ma gospodarki rynkowej, tylko jest gospodarka społeczno-rynkowa. Tylko że niektórzy o tym zapominają.

R.K.: Mamy zapis w konstytucji, ale rzeczywistość kompletnie do niego nie przystaje.

– Posłowie i posłanki, jak ich coś dotyka, powołują się na konstytucję. W dniu, kiedy zrobiliśmy ten happening w Sejmie, z powodu ustawy „67”, każdy poseł z Platformy mówił: „Moje prawa zostały zdeptane, konstytucja, moje prawa wolnego człowieka”. A my zbieramy 2 mln podpisów za referendum i gdzie nasze prawa? To po co kiedyś uchwalali tę ustawę o referendum?

J.K.: W jaki sposób chcecie docierać do osób, które nie są jeszcze zrzeszone w związkach?

– Jest coraz większe zainteresowanie i coraz większa świadomość młodych ludzi, że muszą się organizować. Tylko zorganizowani mogą mieć siłę. Nie tyle, by przeciwstawić się pracodawcom, ale by być dla nich partnerem. Tymczasem pracodawca, który zwalcza związki zawodowe, albo ma coś za pazurami, albo jest po prostu głupi. Bo jeżeli ma w zakładzie pracy zorganizowaną grupę i lidera, który ją reprezentuje, ma partnera do rozmów.

J.K.: W książce „Kłeska »Solidarności«” Davida Osta jest sporo wypowiedzi ludzi, którzy byli w pierwszej „S”, a w latach 90.

założyli firmy i mówili: „W mojej firmie nie będzie związków zawodowych”. Co się stało z etosem solidarnościowym?

– Związek zawodowy w pewnym momencie wszedł bardzo ostro w politykę. Nie chcę usprawiedliwiać, ale nie miał po prostu wyjścia. W 1996 r. trzeba było scałić te wszystkie partie polityczne i to właśnie zrobiła „Solidarność”. Niestety, zapłaciła za to dużą cenę. Ale nie byłoby ani PO, ani PiS, gdyby nie było wcześniej AWS i „Solidarności”.

R.K.: Czy przewodniczący Duda ma poglądy polityczne?

– Moje poglądy polityczne to są poglądy związkowca, który chce pomagać ludziom i ileś lat temu bardzo mocno się w to zaangażował. Był czas, że zakładałem RS AWS w Katowicach, ale przy zmianie statutu musiałem wybrać: związek albo partia. I wybrałem związek. Nie interesuje mnie, jeżeli dziś niektórzy nazywają mnie bolszewikiem, socjalistą, bo ja przeganiłem, że tak powiem, Romneya...

R.K.: Dla nas akurat brzmi to dobrze.

– Nie przejmuję się tym, robię swoje. Tak samo stałem w obronie telewizji Trwam i stanę w obronie TVN24 i Polsatu News, jeżeli dojdzie do tego, że ktoś będzie chciał manipulować wolnością słowa i uniemożliwiać głoszenie swoich poglądów. Po prostu taki już jestem.

J.K.: To ciekawe, że jest pan nazywany teraz bolszewikiem, parę miesięcy temu jedna z publicystek „Gazety Wyborczej” ubierała pana w kostium lidera prawicy.

– Mnie nie zaszukadują. Ja jestem taki związkowy ADHD. Gdybym był w parlamencie i byłoby głosowanie ustawy „67”, to żaden szef partii by mnie nie zdyscyplinował. Głosowałbym tak, jakbym chciał. Pewnie od razu by mnie wyrzucili z takiej partii. I po co mi to? Każdy ma prawo mieć swoje zdanie. Jak prof. Balcerowicz krytykował

rząd za to, co robi z otwartymi funduszami emerytalnymi, to my go brzydko nie nazywaliśmy. A gdy „Solidarność” krytykuje ustawę „67”, do czego mamy prawo, to pan Balcerowicz nazywa nas warchołami. Ale trudno, nie będę poprawny politycznie. Będę wyrażał swoje opinie i nie tylko opinie, bo za opiniami idą działania. W mojej głowie i w głowach członków Komisji Krajowej jest jeszcze wiele wspaniałych pomysłów. Jeszcze temu rządowi utrudnimy życie. Im szybciej tego rządu nie będzie, tym lepiej nie tyle dla polskiej polityki, ile dla polskiego społeczeństwa.

J.K.: No, ale to kto w zamian?

– To jest najtrudniejsze pytanie, jakie można zadać. Trudno mi cokolwiek powiedzieć, jaka koalicja następna, bo było już tych koalicji tyle... mniej lub bardziej egzotycznych. Sami widzą państwo, co jest na scenie politycznej. Wolę stawiać na konkretnych ludzi.

J.K.: Ale jednak można wyczytać z waszej strony internetowej, że jest cały czas pewien rodzaj współpracy z PiS.

– Członkowie, wypisując deklarację przystąpienia do związku, nie piszą, jaka jest ich przynależność partyjna. Ale członek związku nie pozbawia się praw obywatelskich. Gdy porównać, co robi Platforma Obywatelska, a co przykładowo deklaruje PiS, Solidarna Polska czy SLD w sprawie ustawy „67”, że zostanie wrzucona do kosza, to nie dziwcie się państwo, że członek związku zawodowego „Solidarność”, żeby zgłaszać wszystkie działania partii politycznych, które w swoich programach mają pozytywne rozwiązania pracownicze i prozwiązkowe. Staram się traktować je jak partnerów i w drugą stronę chcę, żeby było tak samo. Tak to po prostu powinno wyglądać.

J.K.: Ale z posłem Przemysławem Wiplerem też jedziecie na tym samym wózku?

– Nie znam osobiście pana posła.

R.K.: Prezes Fundacji Republikańskiej, ostry liberał, naprawdę.

– Nie znam, ale i w PiS byli ludzie, z którymi, jak PiS był przy władzy, byliśmy wrogami. Gdy byłem szefem regionu, dla nas taką osobą był Paweł Poncyłjusz. Był wiceministrem i wziął się na związek zawodowy „Solidarność” w górnictwie. Tego mi nie wybaczyłem i nie wybaczę. Najlepszym przykładem jest chociażby były przewodniczący Śniadek. Tak to powinno wyglądać. Kończy się działalność związkową

i idzie się do partii politycznej. A łączenie tych rzeczy jest niedopuszczalne. Tylko tyle.

J.K.: Ale jeśli w jakiejś konfiguracji ta partia dojdzie do władzy, to czy nie robi tego, co poprzednim razem? Wtedy na przykład zmniejszyli progresję podatkową tak, że służy bogatym, a kompletnie nie służy ubogim. Taka współpraca może zaszkodzić związkowi zawodowemu.

– Mam nadzieję, że tak nie będzie. Prezes Kaczyński, oficjalnie, przy całej Komisji Krajowej zapowiedział, że ustawa „67” zostanie wyznaczona do kosza.

R.K.: „Solidarność” zaskarży do Trybunału Konstytucyjnego zmianę ustawy o zgromadzeniach?

– Będziemy na ten temat rozmawiać na najbliższej Komisji Krajowej. Ale nie mamy wyjścia, bo ta ustawa to większy bubel niż ogródek działkowy. Jak ją prezydent podpisze, a pewnie nie ma wyjścia, bo to jego inicjatywa, wtedy podejmiemy decyzję. A tak na marginesie mówienie, że trzeba zmienić ustawę dlatego, że nie można zabronić w jednym miejscu kilku demonstracji, jest bzdurą. A nakładanie kar – paranoja totalna.

R.K.: To jest sposób, żeby pana uciszyć.

– Mnie to nie uciszy. Bardziej się boję, że uciszy różnego rodzaju stowarzyszenia, małe organizacje, bo tam organizator będzie mógł dostać nawet 7 tys. zł kary. Byłem już w prokuraturze w Warszawie w sprawie happeningu przed Sejmem i się tego nie boję. Mogą mnie nawet zamknąć. Jestem człowiekiem, który po prostu nie ustąpi. Po 30 marca wszystko się zmieniło. Dzięki temu, co koalicja rządząca zrobiła z naszą demokracją, wspięła się na wyżyny hipokryzji. Tym bardziej że to ludzie, z których wielu powołuje się na ideały „Solidarności”.

R.K.: 30 marca to jest ten moment...

– ... odrzucenia referendum w sprawie podwyższenia wieku emerytalnego. Nawet w telewizji mówił pan Frąsiniuk do Niesiołowskiego, że w 1989 r. rozmawiali z Kiszczakiem, z Jaruzelskim. A dzisiaj nie chcą rozmawiać z Dudą? To jest dla mnie sprawa kompletnie niezrozumiała, bolesna i nie ma się co dziwić zwykłym ludziom, którzy są tak sfrustrowani, zdeterminowani, wściekli na to wszystko.

J.K.: Czy „Solidarność” jest konserwatywnym związkiem zawodowym?

– Z jakiegoś punktu widzenia tak. Mamy w swojej preambule wpisane wartości →

→ chrześcijańskie. Nie jest to związek lewicowy, ani prawicowy, ale mogę powiedzieć chrześcijańsko-pracowniczy. Kandydaci na członka związku mają możliwość zapoznania się ze statutem. Dla nas pewne rzeczy i wartości są ważne. Jeżeli to nazywa się konserwatyzmem, to tak. Pamiętam, że gdy młodzi ludzie, którzy żyją przecież całkowicie inaczej niż my, zakładali w Oplu w Gliwicach związek zawodowy „Solidarność”, to zupełnie nie myśleli o wartościach. Ale jedna uroczystość, druga uroczystość, spotkanie z ludźmi z tamtych lat i coś się w nich przewartościowało. Po 10 latach ze swoich składek ufundowali sztandar i poświęcili go na Pielgrzymce Ludzi Pracy w Częstochowie. Zrobili to sami. Nikt ich do tego nie zmuszał. Ale musieli do tego dojrzeć. Oczywiście dla nich najważniejsze są sprawy pracownicze, w zakładzie pracy. A to, że w tym związku są i widzą jego historię – to jest bardzo fajne.

R.K.: Orędzie przewodniczącego wygłosi pan na pielgrzymce na Jasną Górę?

– Jak co roku przewodniczący przed uroczystą mszą świętą ma swoje wystąpienie. W tym roku jest to 30. pielgrzymka, bo to w 1982 r. ksiądz Jerzy Popiełuszko ją zapoczątkował. Jeszcze nie mam do końca wszystkiego poukładanego w głowie, bo staram się reagować na bieżąco w swoich wystąpieniach. Chociaż pewne tezy związane właśnie z „67”, z umowami śmieciowymi na pewno tam zostaną poruszone. Dla mnie – może za dużo powiem – i tak sukcesem jest to, że dzisiaj każdy już wie, co to są umowy śmieciowe.

J.K.: Ale ktoś może pomyśleć o „Solidarności”: „Podoba mi się ta organizacja, jest dynamiczna i ma pomysły, ale jestem niewierzący, a ona ma tę religijną nadbudowę”. Czy ona w ogóle jest potrzebna?

– Jak związek zawodowy „Solidarność” powstał, zawsze towarzyszyły nam krzyż, modlitwa. Tak jest do dzisiaj. Ale w deklaracji członkowskiej nie ma przynależności partyjnej ani pytania, czy ktoś jest ateistą, katolikiem czy prawosławnym. Nawet by mi do głowy nie przyszło zadawać takie pytania. Na pewno w „Solidarności” ateista nie czułby się w żadnym stopniu skrępowany, a tym bardziej dyskryminowany. „Solidarność” ma swoje korzenie i z jakiegoś nurtu się po prostu wywodzi.

R.K.: A gdyby pan miał zbudować własną definicję nszz „Solidarność”, to jak ona by brzmiała?

– Chciałbym usłyszeć od wszystkich, którzy w tej chwili rządzą, aby przyznali, że nie ma pierwszej, drugiej, trzeciej, czwartej „Solidarności”. To oni zostawili NSZZ „Solidarność”, bo w pewnym momencie uznali, że ich droga ze związkiem się skończyła. Ja to szanuję, ale nie mają prawa mówić, że jak oni byli w „Solidarności”, to ta „Solidarność” była dobra, a teraz jak ich nie ma, to jest be. Dzisiaj w związku zawodowym „Solidarność” są jeszcze ludzie, którzy byli w nim w 1980 r. Byli internowani, więzieni i dalej są szeregowymi członkami związku, bo nie chcieli robić ani kariery związkowej, ani politycznej. I ich boli, gdy ktoś mówi, że była pierwsza, druga lub trzecia „Solidarność”. Nie! Nawet prezydent Wałęsa, gdyby nie związek zawodowy „Solidarność”, nie byłby prezydentem. To związkowcy „Solidarności” prowadzili mu kampanię. Był ich liderem i to oni go

„ Jest coraz większe zainteresowanie i coraz większa świadomość młodych ludzi, że muszą się organizować. Tylko zorganizowani mogą mieć siłę

wsadzili na ten fotel i nie wolno o tym nikomu zapominać. I tylko tyle. Ja jestem dumny, że jestem przewodniczącym takiego związku.

J.K.: Kobiety w „Solidarności”. Gdzie jest ich miejsce?

– Rola kobiet jest bardzo ważna. Pełnomocnik do spraw kobiet Danuta Wojdat jest bardzo wysoko zarówno w strukturach europejskich, jak i międzynarodowych. Mamy także sekcję kobiet z siedzibą w Szczecinie. Zresztą nie liczyłem, ale wśród pracowników Komisji Krajowej większość to kobiety. Nigdy nie patrzyłem pod względem doboru działaczy, że musi być jakiś parytet, tylko stawiałem warunki. A to, że w prezydium na siedem osób mamy jedną kobietę, wynika zapewne z tego, że trzeba było przyjść do Gdańska, tu być na miejscu i zrezygnować z rodziny.

J.K.: Rozmawiałam i z panią Danutą Wojdat, i z aktywnymi działaczkami związkowymi w Warszawie, jednak w tych rozmowach przewija się trochę wątek, że nie mają wpływu na Komisję Krajową.

– Nawet nie wiem, ile jest pań, chyba są dwie szefowe regionów, szefową sekretariatu ochrony zdrowia jest Mariola Ochman z Warszawy, szefową sekcji sanepidu też kobieta, w Fiacie również. Po prostu są wybory, dzieje się tak jak się dzieje. Też są dyskusje na temat klucza parytetów, ale nie tylko kobiet. Są też dyskusje na temat ludzi młodych.

R.K.: Pan jest młody.

– Tak, stary chłop.

R.K.: Ale tak się pana opisuje w prasie.

– Jeżeli mówi się o mnie „młody”, a człowiek skończył 50 lat, to ciężka droga przed nami, aby faktycznie ten związek zawodowy „Solidarność” odmłodzić. Nasz najważniejszy dział to dział rozwoju związku, a tam jest większość młodych ludzi, którzy działają, którzy myślą zupełnie inaczej.

J.K.: Wracając jeszcze do kobiet. Jesteście chrześcijańsko-pracowniczym związkiem zawodowym. Gdzie waszym zdaniem jest miejsce kobiet? Czy na rynku pracy, czy gdzieś indziej?

– Kobieta, tak jak mężczyzna, powinna podejmować decyzje zawodowe i rodzinne sama lub wspólnie z małżonkiem. Uczestniczymy w bardzo wielu programach uniijnych, aby kobiety znalazły swoje miejsce w życiu zawodowym, ale także aby mogły się spełniać w rodzinie, bo przecież to jest najważniejsze. Tu nieocionia jest szefowa działu projektów europejskich Elżbieta Wielg. Ale za to przede wszystkim odpowiedzialny powinien być rząd, żeby te warunki stwarzać.

J.K.: Czy są takie ruchy społeczne, z którymi byście nie nawiązali kontaktu? Czy są takie kwestie społeczno-obyczajowe, które by was nie interesowały?

– Nigdy nie mówi się „nigdy”. Nie chcę w tym momencie wyliczać katalogu stowarzyszeń, fundacji, z którymi nigdy nie będziemy współpracować, bo – tak jak mnie kiedyś nauczono – nigdy nie mów „nigdy” i tylko tyle.

R.K.: Pan się wymiguje w taki przygotowany sposób.

– Nie, absolutnie. Jak państwo zauważyli, naprawdę się nie przygotowałem. Naprawdę jestem do dyspozycji, jak tylko czas pozwala.

J.K.: To też pokazuje, jak trudno jest intensywnie uczestniczyć w tej sferze politycznej i działać.

– Ale ja wybrałem.



ADAM OSTOLSKI

Autor felietonu
jest socjologiem
www.twitter.com/AdamOstolski

Dowcipy o gwałcie nie są śmieszne, ale za to można się nimi nieźle ośmieszyć. Przekonał się o tym kongresmen z Missouri Todd Akin. Powiedziało mu się, że w przypadku „prawomocnego gwałtu” kobieta raczej nie może zajść w ciążę, bo jej organizm uruchamia naturalne blokady. Kandydat na senatora chciał w ten sposób uzasadnić swój pogląd, że aborcja powinna być zakazana bez względu na okoliczności. Niepotrzebnie: Partia Republikańska wpisała całkowity zakaz aborcji (także w przypadku gwałtu i kazirodztwa) do swojego programu i bez takiej ekwilibrystyki. Z drugiej strony trudno sobie wyobrazić, by w inny sposób mógł się przebić ze swym nazwiskiem do światowych mediów. Coś za coś.

Po drugiej stronie oceanu i politycznej barykady swój pogląd na temat gwałtu zechciał wypowiedzieć George Galloway, jedyny poseł brytyjskiej radykalnie lewicowej partii Respect. Komentując zarzuty wobec Juliana Assange’a, Galloway nie mógł się powstrzymać przed podzieleniem się myślą, że nawet jeśli te zarzuty są słuszne, to nie dotyczą gwałtu, lecz co najwyżej „złych manier seksualnych”. Co innego wejść do pokoju hotelowego nieznanym kobiecie – wyjaśniał – i zacząć ją penetrować podczas snu, to byłby gwałt. Ale w przypadku kobiety, z którą „już jest się w seksualnej grze”, to co najwyżej brak etykiety.

Assange, kobiety i sprawa polska

Trudno stwierdzić, czy Galloway – polityk skądinąd bardzo zasłużony – oczekiwał entuzjastycznego przyjęcia swoich przemyśleń. Spotkał się z oburzeniem, skrytykowała go m.in. liderka jego własnej partii Salma Yaqoob. Obruszyło się też wielu obrońców Assange’a, którym takie wypowiedzi tylko utrudniają działanie. Najmocniejszy argument przeciwko ekstradycji rzecznika WikiLeaks do Szwecji w ogóle nie dotyczy zasadności zarzutów, lecz ryzyka wydania go Stanom Zjednoczonym. Wydanie Assange’a Amerykanom zagrażałoby samym podstawom wolności słowa – nikt, kto ujawnia nadużycia władzy, nie mógłby się czuć bezpiecznie. Można więc być przeciwnym ekstradycji, a zarazem sądzić, że pożądanym byłby uczciwy proces, który wyjaśniłby postawione Assange’owi zarzuty. Można widzieć, jak zarzuty gwałtu są instrumentalnie wykorzystywane w wojnie przeciw WikiLeaks, a zarazem nie wypowiadać się w ogóle w kwestii ich prawdziwości. Można nawet podejrzewać, że zarzuty zostały w tym konkretnym przypadku spreparowane, ale nie znaczy to, że trzeba posuwać się, jak Galloway, do usprawiedliwiania przemyśleń seksualnej jako takiej.

Czy ryzyko, że Szwecja wyda Assange’a Amerykanom, jest realne? Niestety tak. W 2001 r. Szwecja (pod rządami socjaldemokratów) odeślała w porozumieniu z CIA dwóch uchodźców do Egiptu, gdzie byli torturowani. Komitet Praw Człowieka ONZ uznał Szwecję za winną złamania zakazu tortur, zaś Ahmed Agiza i Mohammed Alzery otrzymali po 3 mln koron odszkodowania od szwedzkiego rządu. Inna sprawa dotyczy procesu rzecznika prasowego Pirate Bay – Petera Sundé’a. Jego ze wszech miar szokującą historię opisał po angielsku na swym blogu Rick Falkvinge. Gdy w grę wchodzi interesy USA, Szwecja nie upiera się przy zasadach państwa prawa czy standardach praw człowieka. Być może nigdy nie dowiedziałbym się o tym, gdyby nie sprawa Assange’a i potrzeba znalezienia informacji o statusie praw człowieka w Szwecji (trafiłem zresztą na jeszcze jedną ciekawą informację: wśród organizacji kobiecych Szwecja cieszy się wątpliwą reputacją kraju o wyjątkowo małej skuteczności ścigania gwałtów. Bardzo złą opinię w tej kwestii wyraża jej również raport Human Rights Watch).

Te argumenty powinny wystarczyć, bez wnikania w meritum sprawy. A jednak owo meritum budzi z jakichś powodów zainteresowanie. Gdybyż chodziło tylko o jedną pochopną wypowiedź posła... W brytyjskim Internecie pod artykułami o sprawie Assange’a roi się od komentarzy rozpatrujących szczegółowo, co jest, a co nie jest gwałtem. Przecież jeszcze nie tak dawno, ledwie kilka pokoleń temu, gwałt traktowano przede wszystkim jako naruszenie własności innego mężczyzny (najczęściej ojca lub męża). Uznanie, że ofiarą gwałtu jest kobieta, było mentalną rewolucją. Dalsze ewolucje rozumienia gwałtu to nie jakaś fanaberia, ale po prostu konsekwencja tej rewolucji – efekt przyjęcia perspektywy ofiar i potencjalnych ofiar przemocy seksualnej niż jej sprawców.

Nie wszyscy nadążają za tą zmianą. Przekonują się o tym czasem Polacy mieszkający w Wielkiej Brytanii, gdy okazuje się, że to, co w Polsce uznano by najwyżej za „końskie zaloty”, w świetle brytyjskiego prawa jest gwałtem. Przemoc seksualna nie jest wcale wyjściem „poza kulturę”, jest otoczona szeregiem tradycyjnych masek i kulturowych usprawiedliwień. Stąd tak ważna jest rola edukacji, która powinna dbać o zmianę szkodliwych wzorów kulturowych i o wyposażenie obywateli w umiejętność rozpoznawania i unikania przemocy w relacjach intymnych. Nasze państwo jednak, jeśli już w ogóle postrzega gwałt jako problem, preferuje narzędzia represyjne. Woli ścigać i karać, niż edukować i chronić. Tak przecież uzasadniał swój sprzeciw wobec podpisania przez Polskę konwencji o zapobieganiu przemocy wobec kobiet minister likwidacji sprawiedliwości Jarosław Gowin. Taka polityka jest krzywdząca w stosunku do kobiet i nie w porządku wobec tych mężczyzn, których życie mogłoby wyglądać inaczej, gdyby ktoś spróbował nauczyć ich odróżniać przemoc od intymności.

Mam więc propozycję: Polska – w ramach pokuty za tajne więzienia CIA – mogłaby zaproponować Assange’owi azyl polityczny. To byłby tylko gest, ale niepozbawiony znaczenia. Poza tym wzywam, byśmy jak najszybciej ratyfikowali konwencję o zapobieganiu przemocy wobec kobiet.



W pytaniach o zjawisko ubóstwa pojawia się kwestia definicji. Jakie pani zdaniem kryteria najlepiej opisują biedę?

– Najbardziej odpowiada mi termin „syndrom ubóstwa” profesora Marii Jarosz, określający ubóstwo jako złożoną całość: pozbawienie możliwości udziału w zaspokajaniu pewnych potrzeb czy korzystania z dostępu do pewnych dóbr, usług. Nie chodzi tylko o zapewnienie biologicznego przetrwania. W ankiecie CBOS „Polacy o skali ubóstwa w kraju” na pytanie: „Jak opisał(a) by Pan(i) osobę ubogą, biedną?” 97 proc. respondentów odpowiedziało, że to ktoś, kto nie może zaspokoić potrzeb żywieniowych, a 80 proc. że ubogim jest ten, kto nie ma gdzie mieszkać, czyli tak, jakby tylko bezdomni mieścili się w kategorii ubogich. A co z dostępem do kultury, edukacji, pełnowartościowego życia społecznego?

sezonu komunijnego zapożyczyła się, żeby kupić prezent. Był to skromny dres, ale dla niej ogromny wydatek. Biedny dokonuje wysiłków, żeby nie być postrzeganym jako ktoś gorszy, żeby być takim samym jak inni – kuzyński, rodzina. Panuje stereotyp, że gdy ktoś jest biedny, to musi być obszarpany, głodny, bez komórki – wtedy wiemy, że to bieda. A kiedy biedny ma telefon, to podejrzewa się, że jest to bieda fałszywa.

Niedawno ukazał się raport UNICEF „Ubóstwo dzieci”. Polska pod względem deprywacji dzieci jest wśród 29 krajów rozwiniętych na szóstym miejscu od końca.

– To nie jest nowe zjawisko. I nie jest związane z obecnym kryzysem ekonomicznym w Polsce. Bieda dzieci to problem, który towarzyszy Polsce przez cały okres transforma-

i na świecie. Jednostką badawczą była rodzina i jeżeli była biedna, to zakładało się, że wszyscy jej członkowie są jednakowo ubodzy. Dopiero nurt feministyczny zauważył, że w tej samej rodzinie mężczyźni, kobiety i dzieci są biedni inaczej. W tradycyjnych rodzinach ojciec i jego potrzeby są na pierwszym miejscu. Potrzeby dzieci w zasadzie też są priorytetowe, ale jeśli chodzi o matkę, to zdarza się, że nie zje, oszczędza na swoich potrzebach, a ojciec już niekoniecznie, mięso dla ojca być musi, bo on pracuje. Takie różnice zaczęto zauważać dopiero od niedawna. Bieda kobiet jako bieda specyficzna – kobiety jako menedżerki ubóstwa.

Menedżerki, czyli?

– Filar biednej rodziny. Kobiety, które bez przerwy się krzątają, przygotowują posiłki

Ubóstwo dzieci jest niewidoczne

– Część osób żyjących w skrajnej biedzie nie ma prawa do pomocy, co nie powinno mieć miejsca. Rozumiem, że państwo ma jakieś swoje wyliczenia, ale trzeba zabrać środki z innych celów i pomóc tym najbiedniejszym – mówi **PROF. ELŻBIETA TARKOWSKA**, kierownik Zespołu Badań nad Ubóstwem w Instytucie Filozofii i Socjologii PAN, w rozmowie z Adamem Szymczykiem

Powołam się tu na Ryszarda Kapuścińskiego, który był bardzo wrażliwy na problemy Trzeciego Świata. Przestrzegał, żeby nie sprowadzać biedy tylko do głodu, a pomocy biednym do przysłowiowej miski ryżu uspokajającej sumienie zamożnych. Bieda jest bardziej skomplikowana.

Ludzie często nie lubią pokazywać swej biedy. – Wstydzą się biedy i bardzo się starają, żeby nie pokazać jej innym. W moich pierwszych badaniach z połowy lat 90., opublikowanych w książce „Zrozumieć biednego”, opisaliśmy, że dzieci są uczone, by z domu nic nie wynosić – chleb ze smalcem zjada się w domu, żeby nie było widać, że rodziny nie stać na kielbasę. Pewna kobieta opowiadała, jak podczas

cji. Jak było wcześniej? Nie wiemy dokładnie, bo w PRL nie prowadzono badań tego zjawiska. Mamy wspomnienia bardzo biednego dzieciństwa w latach 60. czy 70., zwłaszcza na wsi. Są nieliczne teksty dotyczące tego okresu, jak np. „Bieda polska 1944-1956” Dariusza Jarosza z książki „Przeciw biedzie”. Natomiast tym, co jest rewelacyjne w raporcie UNICEF, są użyte szerokie wskaźniki kulturowe. Na przykład czy sytuacja materialna jest wystarczająco dobra, by dziecko mogło zaprosić do siebie do domu kolegów na urodziny?

Dlaczego nie dostrzega się zjawiska biedy dzieci?

– Taka była tradycja w badaniach ubóstwa jeszcze do lat 90., nie tylko w Polsce, ale

na zasadzie „coś z niczego”, idą na piechotę przez całe miasto, bo nie stać je na bilet, zdobywają warzywa na jakimś targu o 10 gr taniej. Potem robią czasochłonne potrawy, te placuszki czy pierożki, dwoją się i troją, by nakarmić całą rodzinę. Choć jest mało pieniędzy, to one nimi zarządzają i one są odpowiedzialne za to, żeby na wszystko starczyło, cały czas główkują. Zrobiłam takie badanie – powrót do kilku rodzin po ośmiu latach, żeby zobaczyć, co stało się z dziećmi w tych rodzinach, jak potoczyły się ich losy, czy udało im się wyjść z biedy. Niektórym się powiodło, niektórym nie, ale jednocześnie okazało się też, że ich matki, kobiety w sile wieku, są schorowane, leczą się na nerwy, depresje.

→ **Odreagowują.**

- Jedna z tych kobiet, tam było chyba ośmioro dzieci, opowiadała, jak wstaje rano i zamyka się w łazience. Musi się tam skupić, żeby postanowić, co da rodzinie na śniadanie. Wie pan, to tak jak Napoleon przed bitwą. Musi się zastanowić, jak tę bitwę przeprowadzić i wygrać, żeby każdy coś do jedzenia dostał. Jeśli każdy dzień, każde śniadanie, obiad, posiłek przypłyca się takim stresem, a już nie mówię o jakichś świętach, które są najgorszymi dniami w życiu biednych; jeśli każda czynność, na którą się w ogóle nie zwraca uwagi - jak śniadanie, które zjadamy w biegu i idziemy do naszych spraw - wiąże się z takim psychicznym wysiłkiem... Ten przykład jest dla mnie naprawdę wstrząsający. Pokazuje, na czym polega zarządzanie biedą przez kobiety. To jest po prostu walka i bohaterstwo. W Anglii były wspaniałe badania pokazujące życie w biedzie całych rodzin, kiedy dzieci idą do szkoły, mąż do pracy albo na poszukiwania pracy, kobieta wyłącza ogrzewanie, wkłada trzy swetry, żeby zaoszczędzić. Kobiety za takie wyczerpanie płacą potem zdrowiem.

Wracając do dzieci... Czy ich niedożywienie jest najważniejszym problemem?

- Nie wiem, czy najważniejszym. Prowadzi się duże akcje dożywiania, mam na myśli „Pajacyk” Polskiej Akcji Humanitarnej, ale są przypadki, gdy dzieci przychodzą do szkoły bez śniadania nie dlatego, że nie mają co jeść, tylko dlatego, że się odchudzają. Moim zdaniem najważniejszym problemem jest wyrównywanie szans, by dzieci nie czuły się gorsze. Dożywianie jest bardzo ważną sprawą, ale trzeba pamiętać o innych potrzebach, jak np. dostęp do podręczników szkolnych. Dziecko przychodzi do szkoły z kilkoma skserowanymi kartkami, wstydzi się przed kolegami, że nie ma książki, a wiadomo, jak dzieci bywają okrutne. Zjawisko wykluczenia rówieśniczego polega na tym, że kogoś odbiegającego w górę lub w dół od norm grupowych, kogoś wyróżniającego się wiedzą, jak i kogoś nieposiadającego nowych butów dzieci traktują jak gorszego. Nasze szkoły nie uczą solidarności i dużo zależy od indywidualnej wrażliwości nauczycieli.

Sposób udzielania pomocy chyba też jest ważny?

Andrzej Wiktor

„*Matka ósemki dzieci mówi, że wstaje rano i zamyka się w łazience. Musi się skupić, żeby wymyslić, co da rodzinie na śniadanie, żeby dla każdego starczyło. Jak Napoleon przed bitwą*

- Sposób udzielania pomocy potrafi być problematyczny. W moich badaniach biedy w szkole, przeprowadzonych w 2005 r., nastolatek, którego rodzina kwalifikowała się do pomocy, dostał kartki na bezpłatne posiłki, ale tak się wstydził, że w ogóle na te obiady nie chodził. Podczas tych badań rozmawialiśmy też z przedstawicielami organizacji pozarządowych, świetlic socjoterapeutycznych i dowiedzieliśmy się, że dzieci w szkole są przezywane „dziećmi MOPS-u”, czyli miejskiego ośrodka pomocy społecznej. Skąd uczniowie to wiedzą? Od niedawna dopiero dostrzega się kwestię biedy jako poniżenie. Dla mnie tu zaczynają się problemy. Stan psychiczny polskich dzieci i młodzieży nie jest dobry.

Według danych GUS grupą najbardziej zagrożoną ubóstwem są od lat rodziny wielodzietne.

- Czyli z czworgiem dzieci i więcej. Na Zachodzie typem rodziny najbardziej zagrożonej ubóstwem i wykluczeniem społecznym są rodziny samotnych matek z dziećmi, to jest taki sztańdardowy przykład zjawiska nazywanego feminizacją ubóstwa. U nas natomiast do naj-

biedniejszych należą rodziny wielodzietne, choć ostatnio wzrosły wskaźniki żyjących w ubóstwie rodzin samotnych matek. A sytuacje samotnych matek wychowujących kilkoro dzieci należą do najtrudniejszych, zwłaszcza gdy towarzyszy temu choroba czy niepełnosprawność.

Choroba zabiera wtedy ogromną część funduszy.

- I funduszy, i czasu, co przy słabości polskich instytucji wspierających rodzinę powoduje, że w związku z opieką nad dzieckiem najczęściej matka przestaje pracować. Jest to dramatyczna sytuacja, która z trudem przebija się do opinii publicznej. W świadomości społecznej i w dyskursie publicznym jako biednych postrzega się ludzi starych. Choć w ostatnich latach wzrosły wskaźniki ubóstwa ludzi powyżej 70. roku życia, to i tak są one zwykle kilkakrotnie niższe niż w przypadku dzieci.

To jak z tą biedą? Generalnie jest lepiej czy gorzej?

- Niepokojący jest wskaźnik wzrostu biedy skrajnej, czyli poziomu, poniżej którego występuje zagrożenie biologicznej egzystencji. Jest to niewielki wzrost, ale jeśli to początek tendencji - przypomnijmy, że najnowsze dane GUS odnoszą się do 2011 r. - sytuacja może być poważna. Uważam, że problem ubóstwa mówi coś ważnego o całym społeczeństwie. To, jak ludzie ubodzy się czują, jak sobie radzą, mówi wiele o nas wszystkich. To, że się nimi nie interesujemy, że ich wykluczamy, pomijamy, obnaża nasze cechy. Usta pełne solidarności, miłości bliźniego, wielkich wartości. A w praktyce? Nie ulega wątpliwości, że bieda jest bardzo ważnym problemem, także ze względu na ten wymiar.

A skąd się ubóstwo bierze?

- Głównie z bezrobocia, nisko płatnej pracy czy choćby odległości między miejscem zamieszkania a pracą, co czyni ją nieopłacalną ze względu na dojazdy, a nie zawsze komunikacja istnieje. Nieraz ludzie chcieliby pracować, a nie mają możliwości. Radzą sobie w różny sposób, stosując różne strategie: albo maksymalizację środków, albo minimalizację potrzeb. Do tych najbardziej powszechnych strategii dodają trzeci typ, który nazywa się strategią zarządzania stresem.

Sama bieda i sposoby radzenia sobie z nią to ogromne źródło stresu i różnych negatywnych emocji.

Wspominała pani o skrajnej biedzie. Ilu Polaków jest w tej sytuacji?

- 6 proc. społeczeństwa, czyli ponad 2 mln. To strasznie dużo. Taka Warszawa, całe miasto ludzi w nędzy i w skrajnej biedzie.

A ilu ludzi jest na granicy ubóstwa relatywnego?

- Od kilku lat to jest 16-17 proc., czyli 5-6 mln, ten wskaźnik jest stabilny.

Podział na biedniejszą ścianę wschodnią i bogatszy zachód Polski jest aktualny? Te podziały się pogłębiają czy zmniejszają?

- Jest polityka wyrównywania podziałów regionalnych, ale te nierówności ciągle istnieją. Trwały jest również podział na biedniejszą wieś i bogatsze miasta. Przepaść jest chyba tak duża, że nie wiem, ile czasu trzeba, żeby to się zmieniło.

O czym będzie pani najnowsza książka?

- Będzie to praca zbiorowa dotycząca dyskursów ubóstwa i wykluczenia, ukaże się prawdopodobnie pod koniec tego roku. Zrobiliśmy badania na temat tego, jaki stosunek do biedy i jaki wizerunek biedy i ludzi żyjących w ubóstwie tworzy świat, który biedny nie jest - chodzi tu o media, których rola jest ogromnie ważna, o politykę, szkołę, kulturę popularną, pomoc społeczną, organizacje pozarządowe.

Media bardziej opisują czy zafalszowują problem ubóstwa?

- Podam przykład. Parę lat temu na Pomorzu spalił się budynek pomocy społecznej, spłonęli ludzie i wtedy pojawiła się cała fala tekstów na temat klientów pomocy społecznej, biedy. Media ukazują ubóstwo z okazji jakiś sensacyjnych wydarzeń bądź w sposób okazjonalny, choćby świątecznie - kupujemy wigilijną świeczkę i dzięki temu bieda pojawia się w mediach. To nie dotyczy tylko Polski. W zasadzie można mówić o dwóch typach dyskursu medialnego. Jeden to dyskurs współczucia, solidarności, nawet heroizacji biedy, drugi negatywny - wykluczenia, pogardy, takiej obcości i inności.

Patrzmy z góry i kiedy już pomagamy, to wymagamy.

- Tak, taki paternalistyczny stosunek do ludzi - wiemy lepiej, co tym biednym potrzeba. Kilka lat temu razem ze studentami Akademii Pedagogiki Specjalnej badaliśmy organizacje pozarządowe i stosunek pracowników oraz wolontariuszy do podopiecznych organizacji - osób niepełnosprawnych, rodzin z problemami, biednych dzieci. Uwagę naszą zwrócił obecny w codziennym języku organizacji pozarządowych europejski dyskurs podmiotowości, godności, praw człowieka. Wydawało się na tle wiedzy o innych instytucjach w Polsce, że to taka wyspa podmiotowości, gdzie mówi się innym językiem. Badania pokazują, że różnie to bywa i nieraz trudno powiedzieć, który dyskurs jest domi-

nujący. Zwykle nie ma jednego dyskursu, jest ich kilka.

Co z polityką?

- Wśród polityków zauważalna jest tendencja do wykorzystywania biedy jako narzędzia walki, instrumentalne traktowanie sprawy, ale nie jest to chyba jakaś polska osobliwość. Znajdziemy też oczywiście ludzi wyjątkowych, takich jak Jacek Kuroń, który zrobił bardzo dużo dla ludzi biednych, bezrobotnych i wykluczonych, choćby pierwszą po II wojnie światowej ustawą o pomocy społecznej z 1990 r. - to były podstawy działań osłonowych.

A mamy obecnie jakiś realny system osłon społecznych czy to raczej fikcja?

- Problemem dziś jest to, że od 2006 r. nie zmieniła się ustawowa wartość progów świadczeń socjalnych, czyli 477 zł dla gospodarstwa jednoosobowego i 1404 zł dla czteroosobowej rodziny. W związku z tym część osób żyjących w skrajnej biedzie nie ma prawa do pomocy, co nie powinno mieć miejsca. Rozumiem, że państwo ma jakieś swoje wyliczenia, ale trzeba zabrać środki z innych celów i pomóc tym najbardziej potrzebującym. Tak być nie może. Mam nadzieję, że osoby nieobjęte pomocą finansową dostają innego rodzaju pomoc, z innych źródeł, niemniej problem pozostaje. Gdy zobaczyłam ostatni komunikat GUS, przeraziłam się. Po to jest ta pomoc, żeby pomagać najbardziej potrzebującym, a jeśli najbardziej potrzebujący nie mają prawa do pomocy ze strony państwa, to po co to wszystko?

REKLAMA

PRZE KROJ daje do myślenia

Zamów prenumeratę!

Chleba zamiast igrzysk

Rosyjska wiosna nadciąga

Szczegóły na www.przekroj.pl/prenumerata i pod numerem infolinii 800 120 195

Skontenerowane kwatery



Kontener służy do transportu towarów lub składowania śmieci. Nieoczekiwanie stał się również narzędziem segregacji ludzi według statusu społeczno-ekonomicznego

KATARZYNA CZARNOTA

Ludzie, których nie stać na własne mieszkanie, a zgodnie z ustawą przysługuje im przydział lokalu socjalnego, coraz częściej otrzymują go w blaszanym kontenerze.

Ten nowy standard mieszkań socjalnych fundowanych z miejskich pieniędzy postanowiło wdrożyć w życie już około 40 polskich gmin. 12 kolejnych zastanawia się nad tym projektem. Czasami zastanowienie przychodzi nieco za późno. Na przykład bydgoska Administracja Domów Miejskich po roku funkcjonowania osiedla kontenerowców przyznała, że „to nie był udany eksperyment”.

Wiele zarządów miast nie przewiduje jednak budowy pełnowartościowych mieszkań socjalnych w liczbie pozwalającej zaspokoić realne potrzeby. W kontenerach widzą

zatem tańsze i szybsze rozwiązanie wzrastającego niedoboru mieszkań. Powstrzymuje ich czasami obawa przed reakcją społeczną. Wiceprezydent Krakowa przyznał wprost, że chciałby postawić kontenery socjalne, lecz nie może sobie na to pozwolić ze względu na ewentualne kontrdziałania ruchów społecznych.

Jedno z kluczowych pytań dotyczy tego, jakim sposobem udało się na przestrzeni ostatnich kilkunastu lat bez większego oporu społeczeństwa powoli zmienić standardy mieszkań socjalnych – z pełnowartościowych budynków w okolicach centrum miasta na blaszane kontenery na jego obrzeżach. Do tego celu potrzebna była odpowiednia narracja budująca przyzwolenie społeczne. Władze większości miast postanowiły przedstawić osiedla kontenerowe jako rodzaj kary, zsyłki dla trudnych lokatorów, me-neli i alkoholików.

Rzeczywistość przedstawia się jednak inaczej. Obserwujemy rozwój budownictwa indywidualnego oraz deweloperskiego kosztem własności spółdzielczej, komunalnej oraz zakładowej. Zgodnie z dostępnymi danymi GUS struktura zasobów lokalowych w miastach po okresie transformacji uległa znacznie zmianie. Nastąpił dynamiczny wzrost budownictwa indywidualnego kosztem uspołecznionego. Tymczasem liczba osób z orzeczonymi wyrokami eksmisyjnymi z przydziałem lokalu socjalnego rośnie. Co więc z nimi robić? Miasta odpowiadają: część ładować do kontenerów, a drugiej części kazać patrzeć – może się przestraszą i zacząć płacić czynsze.

Pawilony

Polskie socjalne osiedla kontenerowe to często grodzone, oddalone od centrum i słabo z nim skomunikowane szeregi pawilonów.

Są zamieszkiwane przez zwykłych ludzi, którzy w wyniku różnorodnych sytuacji otrzymali tymczasowy przydział lokalu socjalnego. Zdaniem urzędników „estetyczne pawilony socjalne” doskonale nadają się do zamieszkania. Natomiast zdaniem mieszkańców to „blaszane puszki poukładane w rzędy przypominające getto, w których po prostu nie da się żyć”.

Ich koszt, wbrew niektórym analizom, obciąża budżety miast znacznie bardziej niż budowa pełnowartościowych mieszkań. Koszty związane z eksploatacją najłatwiej przerzucić na mieszkańców, którzy w końcu muszą zapłacić za to, że otrzymali dach nad głową. Często po kilku latach oczekiwania. Dochodzi do absurdu sytuacji – blaszana puszka, z założenia przeznaczona dla osób o niższym statusie materialnym, wykorzystywana jako mieszkanie jest nieprzystosowana do pełnienia tej funkcji. Jest w eksploatacji za droga. Z racji użytych materiałów budowlanych w kontenerach nie można używać otwartego ognia, co stwarza konieczność wykorzystywania energii elektrycznej

także do ogrzewania. W miesiącach zimowych opłaty sięgają nawet 2 tys. zł. Mieszkańcy kontenerowego osiedla w Sławkowie mają taktykę ułatwiającą przeżycie: – Zimą grzejemy, natomiast jak już przyjdzie wiosna i temperatura na plus, to w ogóle prądu nie mamy. Zanim spłacimy zaległości z zimy, mija kilka miesięcy.

W Żorach dwa rzędy blaszanych kontenerów jako jedyne w Polsce podłączone są do centralnego systemu ogrzewania. Koszta ekonomiczne są mniejsze, ale pozostaje konieczność ponoszenia kosztów społecznych. Ostracyzm, stygmatyzacja, wrogość ze strony otoczenia, będąca efektem narracji, która wrzuca wszystkich mieszkańców do jednego worka „roszczeniowej biedoty”. Niektórzy cieszą się, że w ogóle mają dach nad głową: „Jak mi powiedzieli, że mam na bruk iść albo tu, to wolę tu”. To również stopniowo przyzwyczajają społeczeństwo do uznania, że brak

mieszkań nie jest efektem długotrwałej, antyspołecznej polityki, tylko po prostu „dopuszczalnym błędem”. W związku z tym mamy się cieszyć z tego, co jest, z nowych standardów budownictwa socjalnego.

Selekcja

W Bytomiu postanowiono odpowiednio wyselekcjonować mieszkańców do udziału w kontenerowym eksperymencie mieszkaniowym. Przydział dostali tylko ci, którzy byli skazani wyrokiem sądowym. Wzmocnia to narrację kary. Jednak karę tę w większości przypadków odbywają emeryci i renciści. Wyroki, owszem, były. Za nielegalne podłączenie się do źródła prądu w poprzednim miejscu zamieszkania: „Otrzymuję zapomogę w wysokości 250 zł z opieki społecznej. Mało, więc prąd brałam w poprzednim mieszkaniu z ulicy. To wyrok dostałam. Staram się znaleźć nową pracę jako sprzątaczkę. Ale ja mam już 52 lata, więc teraz puszki i złom zbieram. Dostałam ten lokal socjalny, odmówić nie mogłam, ale to jest kurnik, a nie mieszkanie. Kurnik, na który czekałam tyle lat”.

Władze Sosnowca postawiły jedno z największych tego typu osiedli w Polsce. Przed wejściem na osiedle z rzędami pawilonów widnieje napis: Spółdzielnia Nasza Sprawa. Trafić do mieszkania socjalnego może każdy. Większość zyskuje tę świadomość dopiero, gdy sytuacja dotyka go bezpośrednio: „Przecież są też mieszkania socjalne przystoso-

wane do mieszkania. Z centralnym ogrzewaniem, z gazem. Takie rozwiązanie byłoby lepsze. W takich blaszakach to się można tylko choroby nabawić. Wilgoć jest duża, sporo jest też osób chorych. Sąsiadka jest chora na raka i mieszka w kontenerze. Leczy się, ale co z tego? Ja mam drugą grupę inwalidzką. Jest dużo bloków po starych siedzibach firm czy pustostanów”.

Sam fakt zamieszkania w kontenerach ma negatywny wpływ na możliwość zaspokojenia wielu codziennych potrzeb. Konsekwencje tej segregacji mieszkaniowej mają nie tylko charakter przestrzenny, ale także psychologiczny. Prowadzą do społecznej i kulturowej izolacji.

Za skutki decyzji, których efektem jest tworzenie realnych gett ubóstwa, władze nie czują się odpowiedzialne. Bo przecież każdy, zgodnie z neoliberalną retoryką, zasłużył sobie na to, co ma, i wszystkiemu sam jest sobie winny. Powstają kolejne opinie prawne, opinie sanepidu oraz ekspertyzy socjologiczne mówiące, że kontenery są nielegalne, niehumanitarne, nie nadają się na mieszkania. Ale władze miast nadal eksperymentują.

Mieszkańcy natomiast sami muszą sobie radzić z problemem. Żeby pomysłodawcy lepiej poznali skutki kontenerowych eksperymentów mieszkaniowych, lokatorzy już wielokrotnie proponowali im, by osobiście przetestowali te lokale. Do tej pory żaden z urzędników, prezydentów, burmistrzów i radnych się nie zgodził.



Kontenery w Bytomiu (na poprzedniej stronie) i w Sosnowcu

Niewolniczy biznes więzienny

– Wzrastająca liczba więźniów zaczęła napędzać gospodarkę w USA. W stanie Nowy Jork więzienia buduje się w strefach, gdzie pojawiają się problemy ekonomiczne – mówi **DOROTHY DILLARD**, amerykańska kryminolożka, wykładowczyni na Wydziale Socjologii i Kryminalistyki Delaware State University, w rozmowie z Alanem Lockwoodem

Wykładasz na jednym z historycznie czarnych uniwersytetów w Stanach Zjednoczonych. Czy to ma wpływ na tematy, jakimi się zajmujesz?

– Ostatnio przyglądałam się systemowi sprawiedliwości i nieproporcjonalnie częstym kontaktom policji z młodzieżą pochodzącą z mniejszości narodowych w porównaniu z białymi. Badałam to na przykładzie stanu Delaware, który jest doskonałym laboratorium dla socjologa, gdyż są tam zarówno tereny przemysłowe, rolnicze, jak i typowe centra wielkomiejskie z przedmieściami. Młodzi z mniejszości mają pierwszy kontakt z policją zwykle z powodu tzw. naruszenia prawa: nagabywania ludzi na ulicy czy zakłócania porządku publicznego. Gdy już dostaną się w macki wymiaru sprawiedliwości, wpadają w poważniejsze kłopoty z prawem. Brakuje nam innych rozwiązań niż kara, areszt, więzienie – takich jak na przykład opieka kuratora czy interwencje.

Jakie interwencje?

– Terapie psychologiczne, antynarkotykowe. Można powrócić do programów z lat 70. czy 90., na przykład do sportowych klubów policyjnych. To pozwalało na pracę z młodzieżą poza kosztownymi instytucjami, które niespecjalnie się sprawdzają. Stan Delaware wprowadził wówczas modelowy program dla więźniów, również dla narkomanów, polegający między innymi na współpracy z lokalną społecznością, dzięki czemu później łatwiej znajdowali pracę. Teraz więźniów z gorszych dzielnic dużych miast przenosi się daleko poza miejsce zamieszkania, na przykład na tereny rolnicze. Kiedy są zwalniani, nie mają powrotu do swojej społeczności czy Kościoła, gdzie mogliby znaleźć pomoc.

Policja federalna zdecydowała się na, jak to nazywają, wojnę przeciw narkotykom. Dlaczego?

– Terminu „wojna przeciw narkotykom” użył najpierw prezydent Richard Nixon w latach 70. Młodzież była jego utrapieniem, ta grupa najmniej go popierała. We własnych oczach Nixon „zbawiał Amerykę od demona narkotyków”. Jego rząd utworzył agencje i biura mające za zadanie prewencję oraz ochronę porządku publicznego. Ronald Reagan korzystał z tej infrastruktury w latach 80. Za jego czasów stworzono model polityki oraz ustanowiono prawa, które tylko dolały oliwy do ognia. Do państwowych oraz lokalnych władz przeszli wojskowi.

Reagan uchylił Posse Comitatus Act (prawo zabraniające używania wojska do pilnowania porządku wewnątrz kraju) ustanowiony w 1878 r. Wysłał wojskowych najpierw na granicę meksykańską, skąd napływała marihuana, potem do Ameryki Południowej, skąd dochodziła kokaina. Wprowadził ich do agencji ochrony wewnętrznej, gdzie szkolili pracowników.

Używali sprzętu, który nie należy do normalnego wyposażenia takich wydziałów.

– Uzbrojone helikoptery, noktowizory i grupy do zadań specjalnych (SWAT) oraz techniki wojskowe. Rola policjanta nagle się zmieniła. Aby dostawać dotacje, policja musiała się wykazać w walce z narkotykami. Im więcej aresztowań, im więcej więźniów, tym po prostu więcej dolarów.

Michelle Alexander w opublikowanej w 2010 r. książce „The New Jim Crow” (Jim Crow – pogardliwa nazwa Afroamerykanów; „prawa Jima Crowa” to dyskryminacyjne przepisy dla czarnoskórej ludności wprowadzone po zniesieniu niewolnictwa) opisuje początkowy opór lokalnych władz wobec tych propozycji.

– Tak, ale trzeba było uzyskać odpowiednie wyniki aresztowań i oskarżeń, by dostać pieniądze, dajmy na to – na remont lokalnych dróg. Dzisiaj w więzieniach amerykańskich siedzi ponad 2 mln ludzi, 10 razy więcej, niż jest pod opieką kuratorską lub w zakładach poprawczych. Ten wzrost rozpoczął się od 1984 r., kiedy wprowadzono reformę prawa karnego.

Reforma zniósła zwolnienie warunkowe i zdefiniowała obowiązkową karę minimalną. Czy to wtedy zdecydowano, że za posiadanie nielegalnych substancji będzie się trafiać do więzienia?



Lucy Nicholson/REUTERS/FORUM

– Tak, wprowadzono taką samą karę za posiadanie 100 g kokainy jak za posiadanie grama cracku, czyli tzw. przez prasę prawo „100-to-1”, sto do jednego.

Kto w Stanach używa kokainy, a kto cracku?

– Kokainy używają klasa średnia i wyższa klasa średnia. Cracku – ludzie biedni, z gorszych dzielnic miast. To pierwszy przykład rasizmu – wojna z narkotykami ma podłoże klasowe. W Stanach Zjednoczonych rasa i klasa są ściśle powiązane. Nawet prawo podatkowe stało się klasowe. Kiedy mówimy o biednych, mówimy przede wszystkim o mniejszościach. Za czasów rządów Obamy zasada „100-to-1” została zmniejszona do „18-to-1”.

Czy tytuł książki Michelle Alexander nie jest prowokacyjny?

– Książka Alexander postawiła mnie na nogi. Ten podtytuł: „Masowe wyroki w czasach rasowego daltonizmu”! (termin „rasowy daltonizm” – colorblindness – ukuto w latach 30. XX w. na podkreślenie równości ras, kolor skóry miał być nieistotny). Wykładałam na jednej ze 105 uczelni, które do lat 60. były jedynymi uczelniami, gdzie akceptowano „kolorowych” i gdzie po raz pierwszy w swoim życiu mówię otwarcie na temat wątpliwości związanych z rasizmem. Wychowałam

się w Atlancie, później studiowałam w Alabamie i byłam całkowicie przekonana, że od dawna jesteśmy daltonistami. Kolor skóry to przecież pierwsza rzecz, jaką wymieniamy po imieniu i nazwisku oraz płci. A jednak zanim ktoś kogoś zatrudni, zanim się z kimś umówi, chce się najpierw dowiedzieć, czy ta osoba jest biała, czy kolorowa. Mówienie więc o daltonizmie dzisiaj jest co najmniej...

Nieprawdziwe.

– Tak. Oczywiście bardzo chciałabym, byśmy byli daltonistami.

Alexander pisze, że nie chciała odkryć tego, co odkryła. Co zatem odkryła?

– Michelle Alexander jest Afroamerykanką, pracowała dla Sądu Najwyższego. Nie chciała odkryć, że władze federalne w polityce antynarkotykowej ograniczają się do wsadzania ludzi do więzienia, bez oferowania żadnej alternatywy. I że w dużej mierze dotyczy to Afroamerykanów, którzy stanowią 40 proc. uwięzionych, a mniej niż 14 proc. całej populacji.



Archiwum prywatne

→ Jak wygląda prywatyzacja więzień i rozwój przemysłu więziennego w Stanach? Jakie sumy wchodzi tu w grę?

– Trudno ocenić, jakie to są pieniądze. Federalne dolary wydawane na system więzienny pochodzą z różnych budżetów, biznes operuje prywatnymi pieniędzmi. Szacuję jednak, że od 2006 r. całkowita wartość tej branży przekroczyła 42 mld dol. W wielu okolicach więzienie jest głównym pracodawcą (straż więzienna, stołówka, sprzątanie). Wzrastająca liczba ludzi w więzieniach zaczęła napędzać gospodarkę. Stan Nowy Jork to najlepszy przykład – tam więzienia buduje się w strefach, gdzie pojawiają się problemy ekonomiczne. Inna sprawa to budowa samych więzień. W 1990 r. branża ta przyniosła 600 mln dol., w 2002 r. – już 4 mld dol.

To prawie siedmiokrotny wzrost.

– Federalne i państwowe przedsiębiorstwa korzystają z pracy więźniów, płacąc im 1,20 dol. (minimalna płaca w USA to 7,25 dol. za godzinę). Kto ich zatrudnia? IBM, Microsoft, Dell, Target, Macy's, ATT oraz wojskowi przedsiębiorcy.

Co więźniowie produkują dla wojska?

– Hełmy, kamizelki kuloodporne, identyfikatory, spodnie, namioty oraz menażki – 46 proc. wojskowego ekwipunku. Do tego dla przemysłu cywilnego 36 proc. sprzętu domowego – pralki, suszarki, mikrofalówki, 38 proc. części montażowych i 93 proc. farb oraz pędzli do malowania.

Ktoś mi kiedyś powiedział, że więźniowie stali się nową niewolniczą klasą w Stanach Zjednoczonych.

– To prawda. Rząd amerykański, w dodatku po cichu, poleca taką politykę karną szefom innych państw.

Co z recydywą?

– Recydywa utrzymuje się na poziomie od 60 do 80 proc., zwłaszcza wśród przestępców narkotykowych. Nazywa się to systemem „drzwi obrotowych”. Większość kar związanych z narkotykami to kary za zwykłe posiadanie, nie za handel. To nie są żadni szefowie karteli, którzy – jak nam wmówił Reagan – byli celem. Wojna z narkotykami zaczęła dotyczyć posiadaczy detalicznych, a celem stały się mniejszości. Wsadza się do paki niezależnie od tego, czy to marihuana, kokaina, czy heroina. Stygmatyzujemy ludzi, którzy mieli problem z narkotykami, rujnując im życie i uniemożliwiając podjęcie pracy, bo odtąd trafiają

do kartoteki jako kryminaliści. Ponieważ nie mamy w więzieniach dobrego systemu odwykowego dla takich ludzi, nie rozwiązujemy prawdziwego problemu. Wychodzą z więzień i ze swoją kartoteką nie mogą na przykład dostać mieszkania, pozbawieni są wsparcia ze strony społeczeństwa. Ich stres jest ogromny, a wiadomo, że narkotyki pomagają go znosić. Więc wracają do punktu wyjścia, do narkotyków – ale już ze stygmatem kryminalisty.

Który w wielu stanach jest pozbawiony nawet prawa do głosowania – w 2010 r. ponad 5 mln osób nie mogło głosować, czyli jeden na 40 obywateli. Określenia „czarny” i „brązowy” sprzed lat zostały zastąpione słowem „felon” – kryminalista. Czy marihuana, która staje się przyczyną większości zatrzymań, jest uważana za substancję uzależniającą?

– Wokół tego tematu odbywa się wielka dyskusja. Ale, tak jak w przypadku opium, nasz stosunek do marihuany wynika z kulturowej dyskryminacji. Pierwszym dokumentem dotyczącym polityki antynarkotykowej był Harrison Narcotics Tax Act z 1914 r. To było „prawo dochodowe”, które wprowadziło opodatkowanie produkcji i sprzedaży opium oraz koki, mimo iż biznes ten pozostawał nielegalny. To prawo było skierowane przeciw grupom postrzeganym jako zagrożenie dla stabilizacji finansowej klasy średniej, co jest expressis verbis zapisane w raportach komisji, która pracowała nad przygotowaniem tego dokumentu. Pod koniec XIX w. Stany Zjednoczone przeżyły masowy napływ Meksykanów, a gorączka złota przyciągnęła na zachodnie wybrzeże Chińczyków. Marihuana była popularna wśród Meksykanów, z kolei opium wśród Chińczyków. Za Harrison Act stały zarówno rasizm, jak i dyskryminacja. Od lat 30. w materiałach prewencyjnych i czystej propagandzie marihuana zaczęto nazywać „śmiertelnym zielskiem”. Bo jak wciągniesz jednego macha, od razu idziesz i zabijasz. Ludzie nadal uważają, że marihuana wywołuje taki efekt, podczas gdy medycznie rzecz biorąc, uważana jest za środek o właściwościach uspokajających. Afroamerykanie, mieszkańcy Karaibów czy Meksykanie stosują marihuane tak jak Amerykanie alkohol.

Nowy Jork wprowadził zasadę „stop and frisk” (zatrzymanie prewencyjne), która spowodowała wzrost liczby aresztowań za posiadanie marihuany na użytek osobisty.

– „Stop and frisk” wprowadzono w 1994 r. Gdy Ruch na rzecz Praw dla Afroamerykanów (1955–1968) wywalczył w Stanach Zjednoczonych prawa dla czarnych, uznaliśmy wszystkich za równych, przynajmniej w książkach prawniczych. Ale upadek każdego systemu jest tak naprawdę okresem przejściowym. Ludzie przywiązani do hierarchii rasowej, biali ludzie, którzy byli u sterów władzy, poczuli się niepewnie, co wyszło za czasów Reagana, który rozpoczął wojnę przeciw narkotykom. Dla mnie polityka prewencyjnych zatrzymań jest powrotem do instynktów rasistowskich, bo „stop and frisk” – jak wszyscy doskonale wiedzą – jest wymierzony głównie w Afroamerykanów i Latynosów. Jak dowodzą statystyki, 80 proc. z nich okazuje się potem niewinnymi.

Kto korzysta na polityce antynarkotykowej?

– Dobrze pytanie. W społeczeństwie kapitalistycznym, jakim są Stany Zjednoczone, cokolwiek się dzieje, ktoś gdzieś robi na tym pieniądze. Możliwości zastosowania marihuany jako lekarstwa mogłyby otworzyć ludziom oczy i doprowadzić do jej legalizacji, ale to się przemilcza. Spróbujmy przyjrzeć się sytuacji z perspektywy kapitalistycznej i zadajmy sobie pytanie: „Komu nie opłaca się legalizacja marihuany?”. Na pewno straci na tym przemysł alkoholowy.

TLUMACZYŁA KLEMENTYNA SUCHANOW

My i nasze państwo – cd.



MARIUSZ ZIOMECKI

Tydzień temu sugerowałem, że Komisja Nadzoru Finansowego, nasz strażnik rynku finansowego, niestety nie przypomina Chucka Norrisa. KNF przez ponad dwa lata pozwalała Amber Gold zerować na naiwności ciułaczy. Dopiero gdy wybuchł skandal, komisja wykonała nagle kopnięcie z półobrotu i gdańscy złoczyńcy padli na głębie. Postawiłem tezę, że tak duża bierność naszego strażnika nie była ani przypadkiem, ani aberracją, bo polskie państwo Polaka szaraka i Polaka przedsiębiorcę ma w nosie.

Na to odezwał się warszawski prawnik, znajomy z czasów, gdy obaj zaczynaliśmy kariery w Detroit: on w słynnej kancelarii adwokackiej, a ja w jednym z tamtejszych dzienników. Prawnika, który w jedną noc zapomniał o gospodarce więcej, niż ja kiedykolwiek będę o niej wiedział. Nie dyskutuję z główną tezą mojego tekstu, upiera się tylko, że w sprawie Amber Gold akurat KNF „należy się medal”.

„Jeśli ktoś działa poza ich sferą zezwoleń, to mogą jedynie pisać do prokuratury, co zrobili w sprawie Amber (...)” – pisze mi w e-mailu. – Mając stanowisko prokuratury, że nie było naruszenia prawa, KNF wykazała się dużą odwagą, ogłaszając swoje wątpliwości”. Jeśli komisja nie miałaby racji – a tak twierdziła prokuratura! – to „byłaby cywilnie odpowiedzialna za pomówienie i zniszczenie biznesu Amber Gold”.

Racja, KNF wielokrotnie molestowała prokuraturę w sprawie gdańskiego przekrętu i to należy odnotować na jej korzyść. Mea culpa. Jednak odwaga zrobiła się tania, gdy regulator wypchnął oszustów z rynku. W Polsce huczało od skandalu, a szansa, że Amber Bank okaże się praworządnie działającą firmą, była zerowa. Nie przesadzałbym więc z medalami dla komisji.

Zdawało się, że w tej aferze to prokuratura – jedna z gorzej funkcjonujących struktur państwa polskiego – dała ciała najbardziej. Teraz polityczna spin machina rządzących krzyknęła parę i ruszyła do boju: słyszymy, że ministrowie „wnikliwie” ustalają fakty, a Andrzej Seremet żąda wyjaśnień od podległych mu prokuratorów. Jakiś sędzia już podobno ma dyscyplinarkę, kurator sądowy się tłumaczy, a jedna prokurator z Gdańska – Wrzeszcza gwałtownie zapadła na zdrowiu. „Wkrótce” opinia publiczna pozna całą prawdę. Winni zostaną skrupulatnie rozliczeni, a moralny ład w Lechistanie przywrócony.

Śmiejecie się? No pewnie: kto wierzy, ten trąba. Pamiętacie pułkownika, który nadzorował śledztwo związane z kraksą smoleńską? Kiedy zrobiło się gorąco, zainscenizował próbę samobójczą. Obciach był astronomiczny, od czasów Rydza-Śmigłego chyba żadna figura w mundurze tak się nie skompromitowała. I co? Naszego bohatera szybko odstawiono na badanie psychiatryczne i po kilku miesiącach przeszedł w „stan spoczynku”. Nie jest jasne, kto narozrabiał: władny dureń czy człek chory psychicznie? To tajemnica państwowa. Jedyny pewnik w tej historii to wysoka resortowa emerytura, którą dzielny pułkownik będzie pobierał do końca swoich dni.

Stawiam kota mojej matki przeciwko solonim orzeszkom, że bez względu na stopień zamieszania urzędników w aferę Amber Gold skończy się tak samo. Według dostępnych danych jeszcze żaden leń, szkodnik czy kombinator w prokuratorskiej todze nie stracił w Polsce złotego spadochronu.

I to się nie zmieni – chyba że wykorzystamy obecny skandal i wyrzemy presję na polityków. Tylko gdy jesteśmy potężnie wkurzeni, oni się, nas, wyborców, troszkę obawiają.

Czego więc powinniśmy zażądać? Moja propozycja to krok skromny, ale realistyczny i sprawdzony w amerykańskich siłach zbrojnych. Funkcjonują tam pojęcia honorowego i niehonorowego odejścia. Jeśli odbyłeś służbę bez wpadki, to dostajesz obiecane przywileje, jeśli narozrabiałeś – wylatujesz z pustymi rękami, bo nie zdałeś testu.

Zmieńmy reguły gry w państwowych profesjach. Skoro chcemy mieć lepsze państwo (zauważcie, ile po Amber Gold podniosło się takich właśnie żądań!), najwyższy czas zacząć wymuszać szacunek dla standardów kompetencji i uczciwości wśród funkcjonariuszy. Sama możliwość zastosowania sankcji dishonorary discharge podziałałaby trzeźwiąco, nie tylko na prokuratorów.



rys. Mała Rozbicka

Przepaść dzieląca pojednanie i nienawiść na pierwszy rzut oka jest nie do przeskoczenia. Gdy pojednanie mówi o zablężaniu ran, nienawiść chce je rozdrapywać. Gdy pojednanie sprawia, że w obcym odnajdujemy siostrę i brata, nienawiść dostrzega w nich wroga i przeciwnika.

A jednak rosyjskiej Cerkwi prawosławnej i Kościołowi rzymskokatolickiemu w Polsce udało się dokonać tego, co niemożliwe. Na ołtarzu pojednania nie złożono nienawiści. Odwrotnie: na ołtarzu nienawiści złożono pojednanie.

Pokój między religiami?

Kiedy czytałem pierwszą część dokumentu o pojednaniu między Cerkwią a Kościołem („Wspólne przesłanie do narodów Polski i Rosji”), przecierałem oczy ze zdumienia. Miałem bowiem przez chwilę wrażenie, jakby Cyryl I i abp Józef Michalik naczytali się ks. Hansa Kuenga, „heretyckiego teologa” z Tybingi, który od lat powtarza: „Nie ma pokoju między narodami bez pokoju między religiami. I nie ma pokoju między religiami bez dialogu między religiami”. Co więcej, nie tylko obaj liderzy Kuenga przeczytali, ale jeszcze postanowili, że jego zalecenia wcielią w życie.

Oto we wspólnym oświadczeniu kościelni liderzy piszą: „Apelujemy do naszych wiernych, aby prosili o wybaczenie krzywd, niesprawiedliwości i wszelkiego zła wyrządzonego sobie nawzajem. Jesteśmy przekonani, że jest to pierwszy i najważniejszy krok do odbudowania wzajemnego zaufania, bez którego nie ma trwałej ludzkiej wspólnoty ani pełnego pojednania”. I piękne to słowa, i szlachetne.

Nie miejmy jednak złudzeń. Jeśli te słowa kiedyś staną się ciałem, nie nastąpi to ani dziś, ani nawet jutro. Znaczenie tego tekstu odkryje zapewne dopiero następne pokolenie Rosjan i Polaków, prawosławnych i katolików, tak jak dopiero kolejne pokolenie Niemców i Polaków odkryło wagę słów biskupów polskich skierowanych do biskupów niemieckich w 1965 r.: „Przebaczymy i prosimy o przebaczenie”. I to jedyna analogia, jaka łączy oba przesłania i prośbę o pojednanie.

Trwałe pojednanie nie zaczyna się od wspólnych, nawet najwznioślejszych deklaracji, jakie podpisują w świetle kamer duchowi liderzy. Oczywiście to też jest potrzebne. Jednak dużo ważniejsze jest spotkanie między ludźmi. Jeśli bowiem ludzie, przynależąc do róż-

nych narodów i religii, potrafią zasiąść wspólnie do stołu z kaszą i ciepłą wódką, wtedy możemy mówić, że pojednanie nie jest „drewnianym żelazem”.

Maczuga na ateistów i feministki

Sęk w tym, że cały czar, jaki niesie ze sobą pojednanie polsko-rosyjskie pod flagą chrześcijańską, pryska, kiedy czytamy drugą część dokumentu. Jest on bowiem pisany podług logiki, którą najdobitniej wyraził Jean Paul Sartre, mówiąc, że przyjaźń to kwestia znalezienia wspólnego wroga. Kto jest wrogiem, przeciw któremu Cyryl I i abp Michalik zwierają szeregi? Czy są nim grzechy ich Kościołów? Nie. Czy są to przewiny tych wiernych, którzy sprzenie-

Pojednanie na ołtarzu nienawiści

Dokument podpisany przez Cyryla I i arcybiskupa Michalika to nie wyraz dialogu między religiami, to pojednanie w walce ze wspólnym wrogiem – nowoczesnością i prawami człowieka

JAROSŁAW MAKOWSKI

wierzyli się w historii Ewangelii? Też nie. Kto zatem? Krótko: nowoczesność.

To nowoczesność, w oczach obu hierarchów, jest gorsza niż totalitaryzm. Przede wszystkim dlatego, że „promuje aborcję, eutanazję, związki osób jednej płci, które usiłuje się przedstawić jako jedną z form małżeństwa”. Pal sześć, że wszystko tu jest bez ładu i składu wrzucone do jednego worka. Nie ma czasu na niuanse, gdy cywilizacja śmierci stoi u bram, gdy „odrzuca tradycyjne wartości i usuwa z przestrzeni publicznej symbole religijne”. To wszystko sprawia, piszą hierarchowie, że do głosu do-

chodzi „fałszywie rozumiana świeckość”, przybierając „formę fundamentalizmu”, będącą w „rzeczywistości (...) jedną z odmian ateizmu”.

Tekst, który w zamyśle miał jednać świat i ludzi, kulturę i Kościoły, a w podzielonym świecie pokazywać to, co łączy, a nie to, co dzieli, przeradza się nagle w manifest nienawiści wobec ludzi, którzy nie podzielają wizji świata Cyryla I i abp. Michalika. Co gorsza, Ewangelia w tej logice jawi się jako maczuga, którą okłada się ateistów, feministki, protestantów, gdyż nie czczą oni należycie ikony Matki Bożej. Nie mówiąc o Żydach czy muzułmanach. Czytając to swoiste „przesłanie nadziei”, natchodzi mnie myśl, że sekularyzacja i laicyzacja są bożym dopustem. Są dziełem Boga, który – widząc, jak Kościoły rozdierają ten świat na kawałki – chce ich radykalnego osłabienia.

Kto jest zagrożeniem?

Trzeba więc powiedzieć wprost: dziś największym zagrożeniem dla chrześcijaństwa nie jest nowoczesność – z jej prawami człowieka, solidarnością i egalitaryzmem. Dziś największym zagrożeniem dla chrześcijaństwa są kościelni liderzy, którzy nie tyle czerpią wzór działania z dobrego pasterza, jakim był robotnik z Nazaretu, przyjaciel grzeszników i wykluczonych, ile naśladują Savonarolę, inkwizytora i duchowego przywódcę „moralnych atletów”. Jako chrześcijanina dużo więcej łączy mnie obecnie z ateistami i feministkami, walczącymi o solidarność i równość dla każdego człowieka, niż z przywódcami kościelnymi, którzy – gdyby tylko mogli – chętnie i dziś zaczęliby rozpałać stosy.

Cóż zatem zostanie ze wspólnego przesłania Cyryla I i abp. Michalika do narodów Rosji i Polski?

Mam nadzieję, że następne pokolenie weźmie z tego tekstu tylko fragment

mówiący o konieczności wybaczenia sobie win, gdyż tylko w ten sposób można budować lepszą przyszłość. Przeszłość, jak to się mówi w takiej sytuacji, zostawmy Bogu.

Ale może być i tak, że dokument będzie przywoływany za kilka lat jako przejaw kościelnego obskurantyzmu. Że będzie to tekst, za który przyszłe pokolenia prawosławnych i katolickich chrześcijan będą się wstydzić. Tekst, który jest niczym innym jak niedźwiedzią przysługą, jaką Cyryl i abp Michalik wyrządzili nie tylko idei pojednania, ale także całemu chrześcijaństwu.

Jak Władek z Józkiem fajkę pokoju palili

OSOBY:

Zefir, z zawodu arcybiskup. Z imienia i nazwiska Józef Michalik. Hobby: felietonistyka, wspieranie Radia Maryja, pojednanie z Ruskimi.

Cyryl, z zawodu patriarcha. Z imienia i nazwiska Władimir Gundiajew. W pewnych środowiskach znany również jako agent Michajłow. Hobby: drogie zegarki, drogie mieszkania, wyroby tytoniowe, muzyka niepunkrockowa, pojednanie z Lachami. Daleka kuzynka Cyryla.

(Moskwa. Cyryl kłęczy przy łóżku w swoim luksusowym mieszkaniu, którego oficjalną właścicielką jest jego daleka kuzynka. Ta leży w łóżku z papierosem w ustach i czyta gazetę.)

Cyryl: Podpalisz mieszkanie. Zgaś tego papierosa.

Daleka kuzynka: Jest zapisane na mnie. Jestem dorosła. Mogę sobie palić we własnym mieszkaniu. Nie?!

Cyryl: Suka...

Daleka kuzynka: Wyrażaj się.

Cyryl: Żeby cię raczyśko zjadło...

(Cyryl wstaje z kolan i czyni trzykrotny znak krzyża. Kłania się w jej stronę.)

Daleka kuzynka: OK, już dobrze. Już się nie gniewam.

Cyryl: Głupia suka...

Daleka kuzynka: Co???

Cyryl: Ja się kłaniałem w stronę Polski.

Daleka kuzynka: Polski?

Cyryl: Tak, jutro tam jadę.

Daleka kuzynka: A kto cię tam chce?

Cyryl: Michalik. Ksywa Zefir.

Daleka kuzynka: Też robi w tytoniu?

Cyryl: Oficjalnie nie robi, ale mieszka w Przemyślu.



HUBERT KLIMKO-DOBRZANIECKI

Autor teatryku jest pisarzem

Daleka kuzynka: I co?

Cyryl: Od Przemyśla po Lublin Lachy tytoniem stoją.

Daleka kuzynka: Kumam.

Cyryl: Nic nie rozumiesz. I na miłość boską, zgaś tego papierosa. Palenie jest szkodliwe dla ciebie oraz osób znajdujących się w twoim towarzystwie. Powoduje raka i choroby układu krążenia. Jest silnie uzależniające.

Daleka kuzynka: Te, Tytoniowy! Nie świruj! Jeszcze do niedawna co dziesiąta kupiona paczka fajek w tym kraju należała do ciebie. Dorobiłeś się czterech miliardów papierów na raku i chorobach krążenia. Uzależniłeś miliony osób...

Cyryl: Nic dalej nie rozumiesz. Cel uświęca środki. Ja przez uzależnienie nikotynowe uzależniam ludzi od Boga. A to jest dobra rzecz.

Daleka kuzynka: To ja kończę z paleniem.

(Dzwoni telefon. Cyryl podchodzi do biurka. Podnosi słuchawkę.)

Cyryl: Halo? Aaa, siema Zefir. Tak. Tak, tak. Nic się nie zmieniło. Jutro jestem. Szczęść Boże!

(Następny dzień. Kancelaria Zefira. Zefir siedzi za biurkiem. Nad nim kopia ikony Czarnej Madonny. Po przeciwnej stronie biurka siedzi Cyryl.)

Cyryl: Ładna ikonka.

Zefir: To tylko kopia. W Częstochowie jest oryginał.

Cyryl: To o niego chodzi...

Zefir: No...

Cyryl: Dobra, przywiozłem kasę.

Wystarczy ci do przejęcia wszystkich fabryk tytoniowych w regionie. Potem dzielimy się zyskami po połowie. Masz konto w Liechtensteinie?

Zefir: Mam.

Cyryl: To git!

Zefir: Cyryl, czemu ty to robisz?

Cyryl: Dla pojednania naszych narodów. I żeby lewactwo uzależnić od Boga, Kościoła. Czyli nas.

Zefir: Racja. Lewacy dużo palą. Będziemy mieli ich w garści. A ikona?

Cyryl: Spoko. Moi ludzie zrobią podmiankę. Już za tydzień oryginał będzie wisiał nad twoim biurkiem.

Zefir: Cyryl, ty to jesteś prawdziwym przyjacielem. Jak ci się będę mógł odwzajemnić?

Cyryl: Zefir, nie musisz, ale jakbyś chciał, to nie pogniewam się za ładny zegarek.

Zefir: Masz u mnie szwajcara jak w banku szwajcarskim. Masz go.

Cyryl: Wot, gieroj Zefier moj. To co? Zajaramy fajkę pokoju?

Zefir: Jasne Cyryl. Zajaramy fajkę za pokój pomiędzy naszymi narodami i za wspólny biznes tytoniowy. A rano da się oświadczenie dla prasy.

Kurtyna



Zwierzę czuje i myśli

- Jeśli istnieje podejrzenie, że zwierzętom dzieje się krzywda, to złamanie prawa
- włamanie się na fermę przemysłową, do rzeźni lub do laboratorium - jest usprawiedliwione. By udokumentować i ujawnić, co się tam dzieje
- mówi australijski filozof etyk **PETER SINGER** w rozmowie z Katarzyną Biernacką, prezeską stowarzyszenia Empatia

W pozanaukowych kręgach jest pan dobrze znany jako autor „Wyzwolenia zwierząt”. Jakże ma pan wspomnienia z czasu, kiedy ta książka powstawała? Jaka była wokół niej atmosfera? Czy otoczenie było inspiracją?

- Zacząłem pisać „Wyzwolenie zwierząt” jeszcze w trakcie studiów podyplomowych na Oksfordzie, a kończyłem jako adiunkt na Uniwersytecie w Nowym Jorku. Tam spotykałem się na ogół z pozytywnymi reakcjami. Jednak szerszemu audytorium idea wydawała się raczej zabawna. Śmiano się na samą myśl, że zwierzęta mogą mieć prawa. Niektórzy uważali nawet, że takich przekonań nie należy traktować poważnie.

Czy stosunek ludzi do zwierząt od tamtego czasu się zmienił?

- O tak! Zdecydowanie więcej ludzi wyznaje dziś podobne poglądy. Ci, którzy niekoniecznie się z nimi zgadzają, traktują je mimo wszystko serio. Jest też dużo więcej wegetarian i wegan.

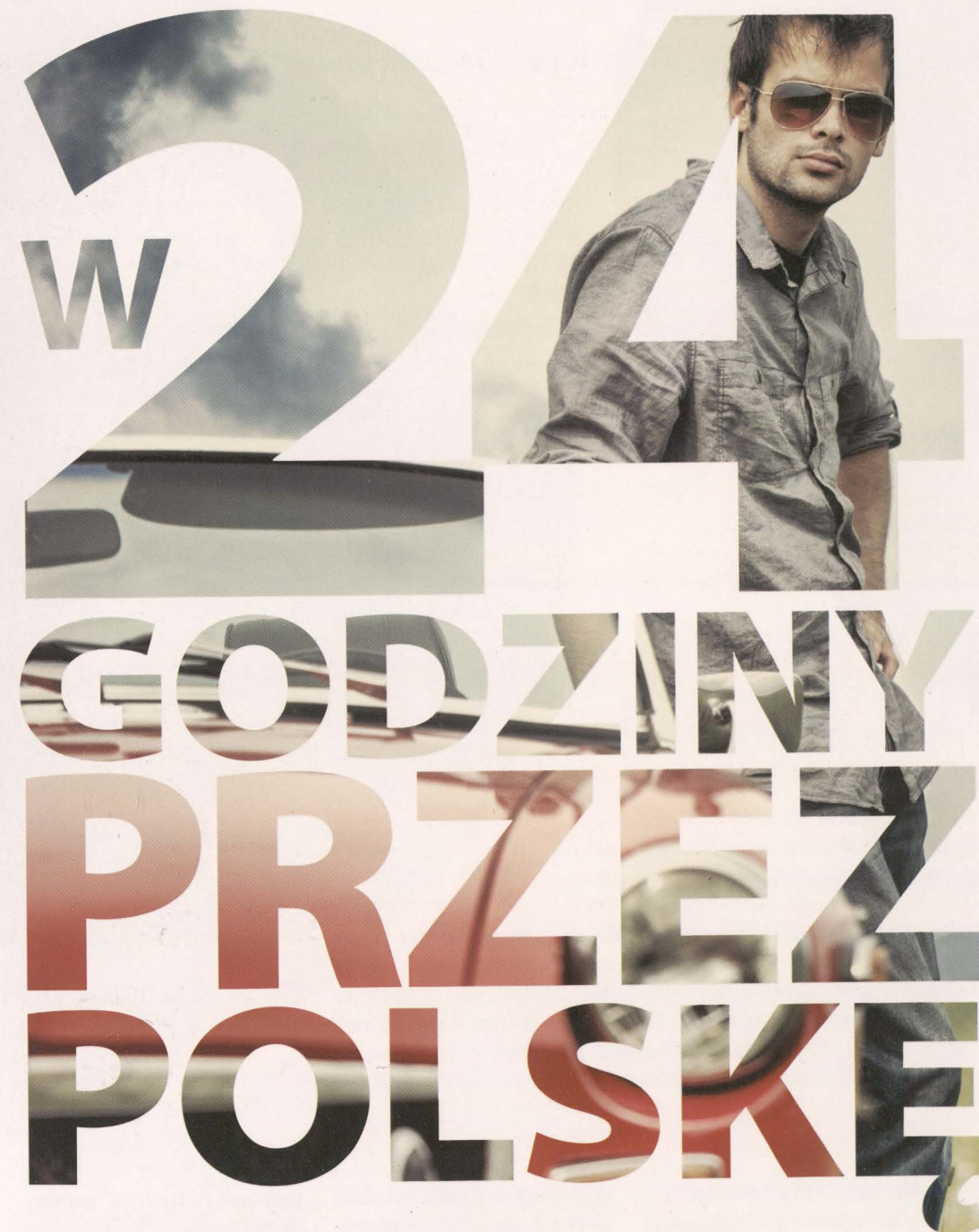
W dzisiejszym świecie uwaga skupia się na mięsie. Apele dotyczą przejścia na wegetarianizm, nie na weganizm.

- Większość ludzi na świecie jada mięso. Jedzą również jajka i nabiał. Sugerowanie, że powinni przetrzymać się na diecie złożonej tylko z produktów roślinnych, oznaczałoby radykalną

zmianę. Myślę, że dla wielu łatwiejsze jest wyeliminowanie z diety mięsa, a pozostawienie nabrała i jaj. Sposób, w jaki przyzwyczajeni są gotować, nie zmienia się wówczas tak radykalnie jak w przypadku przejścia na dietę wegańską.

Czy pana zdaniem zabijanie zwierząt takich jak krowy, świnie czy kury jest problemem moralnym? A może jest nim tylko zadawanie cierpienia? Czy moralnie do zaakceptowania byłoby mięso, nabiał i jajka z ferm, w których zwierzętom żyje się dobrze i gdzie zabijane są bezboleśnie?

- Trudno mi sobie wyobrazić fermę idealną, w której zwierzętom byłoby dobrze, lecz



Marcin i Jacek – najlepsi kumple jeszcze z czasów ogólniaka. Pasjonaci motoryzacji, ekstremalnych przygód... i wyzwń. Tym razem zaczęło się niewinnie, bo od zwykłych przechwałek. Któregoś razu panowie zaczęli porównywać swoje rekordowe czasy przejazdów po Polsce. Niestety, rozmowa nie wskazała jednoznacznie zwycięzcy. Rozstrzygnięcie mogła przynieść tylko bezpośrednia rywalizacja. Przyjaciele podjęli więc nietypowe wyzwanie: wyścig w 24 godziny przez prawie całą Polskę. Który z nich wygra? Jacek, który od lat ma swoje wypróbowane szlaki, czy Marcin, zawsze ciekawy świata i gotowy do sprawdzania nowych tras? Będziemy towarzyszyć Marcinowi w jego podróży. Czy uda mu się zwyciężyć w wyścigu z czasem i przyjacielem?



Fot. GDDKiA

Droga S7: Grójec – Białobrzegi

Projekt: Budowa drogi ekspresowej S7, odcinek Grójec – Białobrzegi
Całkowita wartość projektu: 584,073 mln PLN
Współfinansowanie z UE: 470,500 mln PLN

W ramach inwestycji, jednojezdniowa droga o długości 18 km została przebudowana na drogę dwujezdniową, dostosowaną do parametrów drogi ekspresowej. Zmodernizowany odcinek jest częścią budowanej drogi ekspresowej S7, która docelowo będzie przebiegać z Gdańska do Rabki.



Marcin

Wyzwanie
Start/meta: Warszawa
Punkty kontrolne:
Gdańsk, Kraków, Wrocław
(kolejność dowolna)
Środki transportu:
dowolne
Limit czasu: 24 godziny

Sobota 12:00, Warszawa

Wsiadam do samochodu, włączam ulubioną płytę Rolling Stonesów i dzwonię do Jacka: – *No to w drogę! Przed nami długa trasa, jakieś 1400 kilometrów, a czasu mało* – Ale zakład to zakład. W pierwszej kolejności ruszam do Krakowa. Ciekawe, jaką trasę obrał Jacek... Może będzie potrzebny rewanż?

Sobota 13:17, Grójec

W Grójcu wjeżdżam na nie-

dawno otwarty odcinek drogi ekspresowej S7. I jedzie się świetnie. Szerokie, dwupasmowe jezdnie rozładują ruch, mogę więc trochę mocniej nacisnąć na pedał gazu i nadrobić parę minut straconych w korkach w Warszawie.

Sobota 14:31, Skarżysko-Kamienna

W dalszym ciągu na drodze S7. Nowy odcinek za Skarżyskiem-Kamienną bez zarzutów. A już niedługo eks-

presowa „siódemka” zapewni szybkie i bezpieczne połączenie drogowe od Bałtyku aż po Tatry. Chyba wtedy będę musiał wyruszyć w kolejną podróż...

Sobota 17:03, Kraków

Pierwszy sukces! Jestem w Krakowie. Wysyłam Jackowi smoka wawelskiego MMS-em. Ten oddzwania rozżłoszczony i z nieskrywaną ironią mówi: – *Gratuluje, ja złapałem gumę gdzieś pod Ostródą. Godzina*



Fot. Paweł Krzywicki

w plecy. Ale jeszcze się odkuję, zobaczysz! – *Powodzenia!* – Odpowiadam krótko, po czym ruszam w dalszą drogę. Kierunek: Wrocław.

Sobota 20:34, Wrocław

Jak dobrze znowu zobaczyć rodzinne miasto, chociaż na kilka godzin. Nie wybaczyłbym sobie, gdybym przy okazji nie odwiedził rodziców. Od progu wręczam zdziwionej mamie świeże krakowskie precle. I wpadam na świetny pomysł.

Przecież mogę zostawić tu samochód i ruszyć do Gdańska pociągiem! Przebiegam w drodze, nie tracąc kilku cennych godzin na nocny odpoczynek, a przy okazji moi rodzice będą mieli pretekst, by odwiedzając moje auto odwiedzić mnie w Warszawie.

Sobota 23:37, dworzec kolejowy we Wrocławiu

Nie byłem tutaj od paru miesięcy i... jestem pod wrażeniem! Zabytkowy XIX-wieczny

Projekt: Odtworzenie zabytkowego historycznego kompleksu dworca Wrocław Główny z przebudową kolejowej infrastruktury technicznej
Całkowita wartość projektu: 361,604 mln PLN
Współfinansowanie z UE: 180,693 mln PLN

Dzięki przeprowadzonym pracom neogotycki, XIX-wieczny gmach dworca nie tylko odzyskał swój dawny blask, ale także został wzbogacony o nowe elementy infrastruktury dworcowej, takie jak parking podziemny, windy, czy taśmy bagażowe.



Fot. Sebastian Elijasz

Port Lotniczy Gdańsk im. Lecha Wałęsy

Projekt: Port Lotniczy w Gdańsku – budowa drugiego terminalu pasażerskiego wraz z infrastrukturą oraz rozbudowa i modernizacja infrastruktury lotniskowej i portowej
Całkowita wartość projektu: 247,350 mln PLN
Współfinansowanie z UE: 87,320 mln PLN

Nowy terminal zwiększy przepustowość gdańskiego lotniska aż o 100% – z 2,5 mln do 5 mln pasażerów rocznie. Nowy, trzykondygnacyjny budynek został zaprojektowany w taki sposób, że można będzie w razie potrzeby rozbudowywać go modułowo w przyszłości.

wrocławski dworzec wreszcie odzyskuje dawny blask. Prace renowacyjne potrwać tu jeszcze parę tygodni, ale już widać, że będzie pięknie. Zabytkowa forma połączona z nowoczesną, funkcjonalną infrastrukturą... Po prostu dworzec na europejskim poziomie. Niestety, nie mam zbyt dużo czasu na zwiedzanie, bo pociąg do Gdańska już czeka na peronie.

Lotnisko Chopina w Warszawie

Projekt: Modernizacja linii kolejowej nr 8, budowa łącznicy do lotniska Okęcie (od przystanku osobowego Służewiec do stacji MPL Okęcie)

Całkowita wartość projektu: 366,039 mln PLN

Współfinansowanie z UE: 201,978 mln PLN

Inwestycja umożliwiła uruchomienie regularnego połączenia kolejowego między Lotniskiem Chopina a centrum Warszawy. Na trasie trwającego ok. 20 minut przejazdu z lotniska na Dworzec Centralny honorowane są standardowe bilety stołecznej komunikacji miejskiej. Jeden pociąg może zabrać naraz nawet 1000 pasażerów.



Fot. pois.transport.gov.pl

Niedziela 8:18, Gdańsk, Port Lotniczy im. Lecha Wałęsy

Jakie to szczęście, że jestem w stanie spać w pociągach. Całkiem wypoczęty dotarłem taksówką na lotnisko. Dzwonię do Jacka i pytam, jak spędził noc. Biedak spał tylko 3 godziny w jakimś podręcznym motelu, ma sporo drogi do nadrobienia. Myślę, że nie spodziewa się, że za godzinę z hakiem będę w Warszawie. A samo lotnisko... Pamiętam jak kilka lat temu leciałem stąd do Sztokholmu. Nie było różno-

wo – mała hala, wiele lotów, tłok i długie kolejki do odprawy. Ale teraz to zupełnie inna bajka. No właśnie – bajka! Dzięki budowie drugiego terminalu gdańskie lotnisko może teraz obsługiwać aż dwa razy więcej pasażerów. Jest szybko, sprawnie, no i po prostu nowoczesniej!

Niedziela 10:30, Warszawa

Udało się! Już jestem w pociągu SKM jadącym z Okęcia do centrum. Kasuję zwykły bilet miejski i za 20 minut będę

na Centralnym. I tak sobie myślę, że nie udałoby mi się zmieścić w wyznaczonym czasie, gdyby nie te wszystkie nowe inwestycje transportowe, współfinansowane z unijnych pieniędzy. Ostatni telefon do Jacka. W Warszawie będzie dopiero za kilka godzin. Ale już proponuje rewanż. W sumie dlaczego by nie?...

Centrum Unijnych Projektów Transportowych

Institucja Wdrażająca PO IIŚ

ul. Bonifraterska 17, 00 – 203 Warszawa

tel. 22 262 05 00, fax 22 262 05 01

www.cupt.gov.pl | cupt@cupt.gov.pl | www.pois.gov.pl

www.mrr.gov.pl | www.transport.gov.pl

gdzie by je zabijano. Nie mogę powiedzieć, że taki pomysł mi się podoba. Moim zdaniem powinniśmy całkowicie odejść od tego typu hodowli, chociaż przyznaję, że lepsze traktowanie zwierząt to już byłby duży krok. Z filozoficznego punktu widzenia zadawanie bólu i cierpienia zwierzętom jest złe wtedy, kiedy nie musimy tego robić, kiedy nie jest to niezbędne dla naszego życia czy zdrowia. Cierpienie to problem najbardziej naglący. Rzeczywiście, gdyby prowadzić wolno wybiegową hodowlę na jajka, gdzie kury żyłyby w stadach odpowiedniej wielkości, nie przycinano by im dziobów itp., to przynajmniej miałyby dobre życie.

Ale równocześnie musielibyśmy zacząć myśleć o takich jajkach jako o artykułach luksusowych, bo to nie byłaby hodowla na masową skalę.

– Byłyby na pewno droższe, niż są teraz, i nie dla każdego dostępne. Traktowano by je jak jakiś specjał.

Jak dzisiaj kawior... Czy krytyka idei ruchu prozwierzęcego różni się w zależności od kraju?

– Różni się do pewnego stopnia ze względu na wagę, jaką przykłada się w danym kraju do religii. W bardziej religijnych stanach USA jestem krytykowany, bo mówię coś sprzecznego z etyką religii, według której Bóg oddał zwierzęta w panowanie człowiekowi. W wielu krajach przekonanie, że źle traktujemy zwierzęta, jest ogólnie akceptowane. Na przykład w krajach Unii Europejskiej zakazano niektórych form hodowli, jak klatki bateryjne dla kur, kontrolowany jest też sposób trzymania macior czy cieląt. Pozostaje pytanie, jak daleko możemy się posunąć? Niektórzy uważają za nierealne to, że ludzie przestaną jeść mięso. Żywią błędne przekonanie, że jeśli nie będziemy jeść mięsa, to będzie mniej jedzenia, że będzie trudniej wyżywić się biednym ludziom. Jest wiele mylnych opinii na temat roli mięsa w odżywianiu. Często wynika to z braku wiedzy. W większości przypadków produkcja mięsa opiera się na karmieniu zwierząt zbożem lub soją i dlatego jest mało wydajna.

Jaka jest rola nauki w rozwoju współczesnych teorii etycznych? Wydaje się, że etycy bez wiedzy na temat biologii, psychologii czy ekonomii są odcięci od rzeczywistości.

– W tej chwili prowadzi się dużo ciekawych badań na temat pochodzenia naszej moralności i sądów etycznych. Nauka pomaga zrozumieć, dlaczego ludzie podejmu-

ją takie, a nie inne osądy moralne. To może nam pomóc zmieniać te poglądy w pożądanym kierunku. Nauka dotycząca natury zwierząt jest z kolei pomocna w kwestionowaniu błędnych przekonań, np. że zwierzęta nie potrafią myśleć. Tak powszechnie uważano w latach 70., kiedy zacząłem zajmować się tym tematem. Uważano, że zwierzęta czują tylko fizyczny ból, odmawiano im posiadania umysłu i emocji.

Zmieniły to prace etologów poznawczych.

– Tak. Te badania przedstawiają zwierzęta w innym świetle. Badacze popularyzują naukę, ich książki czyta wielu ludzi, to zmienia postrzeganie zwierząt.

Czy pana zdaniem trzeba odrzucić podstawowe założenia chrześcijaństwa i polegać na areligijnej etyce, aby zmienić nasz stosunek do zwierząt pozaludzkich?

– Spotkałem ludzi z Kościoła katolickiego i innych chrześcijańskich Kościołów, a także wyznawców judaizmu czy islamu, którzy interpretują swoje tradycje w sposób korzystny dla zwierząt, przechodzą na wegetarianizm.

Mam na myśli w szczególności problem z pokonaniem szowinizmu gatunkowego.

– Rzeczywiście, trudno sobie wyobrazić, że tradycje religijne odchodzą od szowinizmu gatunkowego. Są w końcu zasadzone na ideę, że człowiek został stworzony na podobieństwo Boga, a zwierzęta nie. W związku z tym człowiek ma panować nad zwierzętami. W tradycji chrześcijańskiej, ale nie w żydowskiej, dochodzi do tego kwestia przekonania, że człowiek w przeciwieństwie do zwierząt ma nieśmiertelną duszę. To pewnie utrudnia zmiany, ale nie sądzę, by je uniemożliwiało. Na przykład w niektórych Kościołach chrześcijańskich czy w niektórych tradycjach judaizmu doszło do znaczących zmian w kwestii pozycji kobiet. Zmiana postaw jest możliwa.

Jaka jest rola oddolnych ruchów w zmianie świadomości odnośnie do praw zwierząt, a jaka rządów czy firm?

– Ruch obrony praw zwierząt jest oddolny, coraz więcej ludzi domaga się zmian w sposobie traktowania zwierząt, bojkotują produkty, które uważają za nieetyczne. To postawy ludzi wpływają na zmiany dokonywane przez rządy czy przemysł. Rządy nie wprowadzałyby zmian, gdyby nie było zmian na poziomie społecznym. Przemysł musi wyjść im naprzeciw, by nie tracić klientów. Choćby to,

że jedzenie wegańskie i wegetariańskie jest dużo łatwiej dostępne niż kiedyś, daje efekt kuli śnieżnej, która cały czas rośnie.

A jaki jest pana stosunek do stosowania przemocy? Można ją stosować w obronie zwierząt?

– Przemoc to działanie, którego wynikiem jest krzywda lub groźba zrobienia krzywdy czującej istocie – ludzkiej lub pozaludzkiej. Niektóre przypadki niszczenia mienia bywają przemocą, wiążą się z krzywdą. Gdy ktoś podpala budynek, zawsze istnieje ryzyko, że ktoś inny będzie w środku – człowiek lub zwierzę, strażacy też mogą doznać obrażeń. To postrzegam jako przemoc. Nie mam na myśli wszystkich form niszczenia mienia, lecz takie, które niosą ryzyko zadania komuś poważnej krzywdy – z użyciem ognia, materiałów wybuchowych itp. Jestem przeciwny stosowaniu przemocy wobec jakichkolwiek istot zdolnych do odczuwania. To powinien być ruch, który ma etyczne podejście do życia i sprzeciwia się temu, co nieetyczne – złemu traktowaniu czujących istot – zwierząt. Jeśli będziemy używać przemocy, nigdy nie uda nam się przekazać tego przesłania.

Ale aby udokumentować warunki, w jakich trzymane są zwierzęta, trzeba często łamać prawo, na przykład wejść na dany teren, żeby coś sfilmować. Czy uważa pan, że złamanie prawa w takim przypadku może być usprawiedliwione?

– Tak, sądzę, że może. Jeśli istnieje podejrzenie, że dzieje się coś moralnie złego, to złamanie prawa, by pokazać to społeczeństwu, jest usprawiedliwione. Dziennikarze regularnie łamią prawo z najbardziej nawet błahych powodów. Mieliśmy tego przykład choćby w przypadku Murdocha w Anglii, choć nie byłbym za włamywaniem się ludziom do telefonów, żeby odkrywać sprawy dotyczące ich życia prywatnego. Co innego włamanie się na fermę przemysłową, do rzeźni lub do laboratorium, gdzie zwierzętom dzieje się krzywda. Po to, by udokumentować i ujawnić, co się tam dzieje.

Jak – w pana odczuciu – jest pan odbierany w Polsce?

– Pierwszy raz byłem tu w 1978 r., a w ciągu ostatniej dekady pięć lub sześć razy. Myślę, że moja praca jest tu odbierana całkiem dobrze. Osiem moich książek przetłumaczono na polski. Najnowsza – „Życie, które możesz ocalić” – oczywiście jest kontrowersyjna w kręgach katolickich, ale cieszy się sporym zainteresowaniem.

Na pewno słyszał pan, że GMO to postęp i że działania takich organizacji jak Greenpeace są antynaukowe i antyrozwojowe?

– To standard stosowany przez tych, którzy chcą odwrócić uwagę od istoty rzeczy. Krytyków polityki Busha czy Obamy nazywa się antyamerykańskimi, Putina antyrosyjskimi, Netanjahu antysemitami, a nas antynaukowymi. Tymczasem największym zagrożeniem dla nauki są właśnie ci, dla których jest ona zbiorem niepodważalnych prawd wiary i którzy nie widzą oraz nie chcą widzieć skutków powodowanych przez konkretne technologie. Jeśli prawdziwa nauka jest procesem, w którym ciągle korygujemy nasze postrzeganie świata i naszego w nim działania na podstawie docierających do nas informacji, to postawa promotorów GMO jest głę-

przez wiele dekad. Mnóstwo jest natomiast dowodów na to, że fundamentalne przyczyny głodu nie są związane z ilością żywności. Ekonomista i laureat Nagrody Nobla Amartya Sen wykazał, że często głód wydarza się przy pełnych magazynach. Co więcej, w wielu krajach największy odsetek głodujących to ludzie zajmujący się uprawą roli lub ci, którzy w wyniku zmian ekonomicznych stracili dostęp do ziemi. Jeśli rosnący kryzys żywnościowy ma być rozwiązany, odbędzie się to poprzez sprawiedliwą dystrybucję ziemi i samej żywności, a także poprzez ekologiczne sposoby odbudowy gleby oraz odejście do konsumpcji takiej ilości mięsa jak obecnie. Nie jest to wyłącznie zdanie Greenpeace. Wnioski wielu naukowców zajmujących się rolnictwem w szerszej skali albo specjalnego

dukcja nawozów sztucznych zależy przede wszystkim od taniego gazu, a cena ropy stała się fundamentalnym czynnikiem wpływającym na ceny żywności. W 1940 r. przeciętna amerykańska farma tworzyła ponad dwie kalorie żywności na jedną kalorię pochodzącą z paliw kopalnych. Obecnie jedna kaloria zjedzonej tam żywności jest okupiona 10 kaloriami z paliw kopalnych. Emisja gazów cieplarnianych produkowana przez przemysłowe rolnictwo to jedna trzecia całkowitej emisji na świecie. Wiemy już więc, że przemysłowy model rolnictwa ma niesłychanie krótkie nogi – niszczy naszą zdolność do tworzenia żywności w przyszłości. Dalsze parcie w tym kierunku przy kurczących się zasobach ropy i postępującej zmianie klimatu to prosta droga do katastrofy.

GMO – ślepa uliczka



– Problem globalnego głodu nie bierze się ze sprzeciwu ekologów wobec upraw roślin modyfikowanych genetycznie, ale ze złej dystrybucji żywności – przekonuje dyrektor Greenpeace Polska MACIEJ MUSKAT w rozmowie z Bartłomiejem Kozkiem

boko nienaukowa, niezależnie od liczby tytułów przed nazwiskiem. Większość najgłośniejszych zwolenników GMO prezentuje dziecięcą wiarę w technologiczne rozwiązania problemów gospodarczych czy politycznych, która sprowadza się czasem wręcz do blokowania publikacji naukowców krytycznych wobec GMO. Jeśli chodzi o sam Greenpeace, to warto wiedzieć, że mamy specjalną strukturę, zwaną Science Unit, w której pracują specjaliści od rolnictwa, oceanów czy substancji toksycznych. Ich zadaniem jest ciągle monitorowanie doniesień naukowych i produkowanie raportów dających podstawy naszym kampaniom.

Czy GMO może rozwiązać problem głodu na świecie? Ten argument często się pojawia.

– Nie ma żadnych dowodów na takie stwierdzenie, na świecie nadal głoduje około miliarda osób, choć produkcja żywności rola

komisarza ONZ do spraw prawa do żywności są bardzo podobne.

Uprawy modyfikowane genetycznie często porównuje się do zielonej rewolucji, która miała przyczynić się do wzrostu wydajności rolnictwa w krajach globalnego Południa. Czy owa rewolucja istotnie przyniosła taką poprawę sytuacji żywnościowej, jak prezentują to jej zwolennicy?

– Tak zwana zielona rewolucja faktycznie zwiększyła wydajność plonów, ale stało się to ogromnym kosztem, który już zaczęliśmy płacić i który rośnie lawinowo. Ten koszt to przede wszystkim zniszczenie gleby w wyniku stosowania pestycydów i nawozów sztucznych. Te środki są szkodliwe również dla zdrowia naszego i wielu innych organizmów, choćby w morzach, dokąd spływają, tworząc tzw. martwe strefy. Ten koszt to także uzależnienie systemu produkcji żywności na świecie od paliw kopalnych – pro-

Komu zależy na rozpowszechnianiu upraw modyfikowanych genetycznie?

– Najbardziej tym, którzy mogą – na krótki czas – zwiększyć zyski swoich firm, poprzez dalszą monopolizację na rynku żywności i tzw. integrację pionową, czyli przejmowanie kolejnych elementów łańcucha produkcji żywności. Obecnie sześć koncernów kontroluje 75 proc. rynku agrochemicznego na świecie. Monsanto, czołowa firma inżynierii genetycznej, kontroluje 90 proc. rynku nasion w USA. Jednocześnie głównym produktem GMO w skali globalnej są odmiany odporne na środki chwastobójcze, które sprzedawane są przez... Monsanto. Tego rodzaju systemy uzależniają kolejnych rolników od dostawców nasion i chemikaliów. To ten model biznesowy jest źródłem zysków. Na promocji GMO zależy też tym naukowcom, którzy swoją karierę związali z tą technologią. Koncerny produkujące GMO dysponują gi-

gantycznymi budżetami, a to oznacza granty, wyjazdy itp. Z mojego punktu widzenia ci naukowcy pełnią, często nie do końca świadomie, rolę najemników w wojnie przeciwko najbardziejemu oraz przyrodzie.

Jaki jest sens zezwalania na uprawy GMO w Polsce? Czy są one zdrowsze, bardziej wydajne, tańsze?

– Na pewno nie są zdrowsze dla ludzi od żywności ekologicznej, wytworzonej bez udziału chemii. Na pewno mają wpływ na inne organizmy. Albo bezpośredni, na przykład wpływając na rozrodczość pewnych owadów, albo pośredni, czyli poprzez skutki stosowania środków chemicznych. Wyższa wydajność GMO, jeśli w ogóle występuje, jest chwilowa – przyroda bardzo szybko radzi sobie z prymitywnym podejściem inżynierii genetycznej, np. tworząc chwasty odporne na środki chwastobójcze. To z kolei prowadzi do obniżenia wydajności oraz do zwiększenia zużycia pestycydów. GMO mogą być tańsze, pod warunkiem że nie liczymy subsydiów dla wielkoskalowego rolnictwa, energii, którą ono zużywa, ani kosztów rolników tradycyjnych i ekologicznych, którzy w wyniku zanieczyszczenia tracą zbiory czy będą zmuszeni sprzedać gospodarstwa. Warto też pamiętać, że porównywać GMO z naturalnym odpowiednikiem to tak, jakby porównywać mięso kury z przemysłowego chowu karmionej paszą z antybiotykami z mięsem kury,

która życie spędziła pod otwartym niebem – nikt o zdrowych zmysłach nie będzie traktował tych dwóch produktów tak samo.

Czy istnieją sposoby, by zapobiec krzyżowaniu się organizmów modyfikowanych i niemodyfikowanych genetycznie?

– Istnieje jeden sposób uniknięcia zanieczyszczenia – wprowadzenie zakazu uprawy konkretnych GMO, co jest możliwe w prawie europejskim. Doświadczenie wskazuje, że jakiegokolwiek strefy buforowej są jedynie zasłoną dymną – prędzej czy później okaże się, że GMO wydostało się do środowiska. Sztandarowym przykładem jest modyfikowany ryż firmy Bayer, który wydostał się nawet z pól testowych w USA, co ostatecznie doprowadziło do tego, że 11 tys. rolników otrzymało 750 mln dol. odszkodowania za zrujnowanie ich planów eksportowych.

Ile może nas kosztować utrata wizerunku kraju wolnego od upraw GMO?

– My już go tracimy – nie zapominajmy, że w wyniku niejasnego prawa w Polsce jest możliwa uprawa zmodyfikowanej genetycznie kukurydzy i mówi się o istnieniu 3 tys. ha upraw tej rośliny. Wiele osób i organizacji wysyłało do ministerstw rolnictwa i środowiska pytania o lokalizację tych upraw. Odpowiedź była zawsze taka sama: „nie wiemy” – co jest niezgodne z prawem europejskim. W odróżnieniu od GMO rynek żywności ekologicznej w Eu-

ropie rozwinał się wyjątkowo szybko, a Polska właśnie zaczęła nadganiać Europę w tej kwestii. To w tym sposobie tworzenia żywności znajdują się kluczowe szanse dla polskich rolników i to tutaj może powstać więcej miejsc pracy niż w inżynierii genetycznej. Istnienie w Polsce upraw zmodyfikowanych oznacza przyzwolenie władzy na zanieczyszczenie i może pogрузić te szanse.

Czy jakieś działania przeciwników GMO faktycznie miały wpływ na postępowanie polskich władz?

– W połowie lat 90. wszystkie sejmiki wojewódzkie podjęły rezolucje opowiadające się za nadaniem województwom statusu stref wolnych od GMO, podobnie jak to się stało w wielu innych krajach Europy. Rezolucje są formą deklaracji, z którą jak dotąd rząd w Warszawie się nie liczy. Na początku poprzedniej dekady sprawą GMO zaczęły się zajmować rząd i parlament. Polskie organizacje pozarządowe ruszyły do akcji, szukając informacji i wsparcia za granicą. W 2005 r. udało się przekonać ówczesnego premiera Marka Belkę do wprowadzenia zakazu uprawy kukurydzy modyfikowanej, choć okazał się on nieszczerły. Najważniejsze jednak wydaje mi się to, że pomimo ogromnych pieniędzy, bezpośredniego wpływu na polityków i dziennikarzy – co potwierdziły depe-
sze na WikiLeaks – Polska nie stała się „czarnym koniem przemysłu GMO”.



– Przemysłowy model rolnictwa ma niesłychanie krótkie nogi – niszczy naszą zdolność do tworzenia żywności w przyszłości – mówi Muskat. I broni małych ekologicznych gospodarstw

Jakie zwolnienie przy stole

Ruch Slow Food, prezentowany podczas Zielonego Jazdowa w warszawskim Centrum Sztuki Współczesnej, powstał jako przeciwwaga dla przemysłowo produkowanej żywności, zabijającej lokalne tradycje kulinarne. Czy jest on jednak powszechnie dostępną alternatywą dla jedzenia z supermarketu?

AGATA HUMMEL

Nigdy w historii ludzkości nasza podstawowa dieta nie składała się z tak wielu produktów, które przemierzają pół świata, zanim trafią na nasze stoły. Na przykład szacuje się, że żywność Anglików rocznie pokonuje 30 mld km, co pozostawia istotny ślad w postaci emisji dwutlenku węgla. Korzystając tylko z lokalnej żywności, Wyspy mogłyby obniżyć ją aż o 26 razy. A jedząc więcej produktów sezonowych, ograniczyć również przy produkcji jedzenia.

Wyścig hamburgerów

Odkrycie Nowego Świata przyniosło znaczące zmiany w geografii naszej diety. Według Sidneya Mintza, antropologa wsi i jedzenia, punktem zwrotnym był XVIII w. i moment, w którym w Wielkiej Brytanii każdy – nie tylko dwór i szlachta – mógł codziennie

pijać herbatę z cukrem. Nawet strawa europejskiej klasy robotniczej stała się transatlantycznym towarem subsydiowanym przez niewolniczą pracę w koloniach. Importowane produkty przekształcały lub wypierały lokalne tradycje kuchenne, a w konsekwencji i rolnicze. Model, w którym dieta większości była związana z najbliższym otoczeniem społecznym i przyrodniczym, został zastąpiony przez system gospodarczy, w którym żywność jest towarem transportowanym pomiędzy anonimowymi producentami i konsumentami.

Dziś jednymi z głównych wartości w społeczeństwie i gospodarce są wielkość i prędkość. Już w 1976 r. Ivan Illich napisał: „Powiedz mi, jak szybko się przemieszczasz, to powiem ci, kim jesteś”. Od tego czasu tempo już tylko rosło: szybkie pociągi, samoloty, usługi... Nie starcza nam życia, żeby zmieścić w nim to, co chcemy. Kiedyś też musimy jeść. Fast food przychodzi nam z odsieczą, jest jednym z najbardziej ewidentnych przejawów globalnej kultury konsumpcjonistycznej. Każdy zapewne zetknął się z konkursami pod hasłem „kto zje więcej hamburgerów w jak najkrótszym czasie”. Rytuały często w karykaturalny sposób streszczają kulturową kondycję człowieka.

Zwolnijmy!

Nie wszyscy jednak odnajdują się w rozpedzonym świecie. W latach 80. we włoskim miasteczku Bra, niegdyś słynącym z garbactwa, zaczęła powstawać alternatywa właśnie w dziedzinie jedzenia. W duchu tradycji asocjacionizmu (stowarzyszeń), powstawały organizacje promujące lokalne wyroby, takie jak piemonckie wino Barolo. Jednym z promotorów tych działań był Carlo Petrini – smakosz, dziennikarz i założyciel ruchu Slow Food, który sformalizował się w 1986 r. Bezpośrednim katalizatorem była demonstracja przeciwko planom otwarcia McDonalda na placu Hiszpańskim w Rzymie.

W Slow Food od początku najważniejsza była oddolna organizacja. Przy okazji Szóstego Międzynarodowego Kongresu Slow

Food, który odbędzie się w Turynie pod koniec października, w dokumentach programowych liderzy ruchu podkreślają, że lokalne systemy produkcji i konsumpcji żywności przyczyniają się nie tylko do ochrony bioróżnorodności, różnorodności kulturowej i lokalnych modeli gospodarczych, ale są okazją do realizacji demokracji uczestniczącej.

Slow Food to propozycja spojrzenia na jedzenie w sposób bardzo szeroki: od strony filozoficznej, antropologicznej i literackiej, nie tylko utylitarnej. Kluczowymi hasłami ruchu są tradycja, prostota, przyjazność, umiarkowane ceny oraz terytorium, rozumiane jako kombinacja czynników naturalnych i ludzkich. Rodzaj gleby, woda, nachylenie terenu, wysokość nad poziomem morza, roślinność, mikroklimat, tradycja i praktyki rolnicze – wszystko to stanowi o niepowtarzalnym charakterze lokalnej kultury kulinarnej.

W latach 80. Fast Food zalewał cały świat. Nie tylko Włosi czuli, że ich tradycje znalazły się w niebezpieczeństwie. W 1989 r., w porozumieniu z kilkoma światowymi organizacjami o podobnym profilu, powstał Manifest międzynarodowego ruchu Slow Food nawołujący do zwolnienia najpierw przy stole, a potem i w innych dziedzinach życia. Dziś ruch ma 100 tys. członków i członkiń oraz sieć 2 tys. wspólnot, które produkują żywność wysokiej jakości na małą skalę i w sposób zrównoważony. Celem Slow Food jest gromadzenie i rozpowszechnianie wiedzy na temat kultury materialnej, ochrona dziedzictwa rolniczego i kulinarnego, dbałość o bliskie relacje zaufania między konsumentami i producentami, ale też i promocja przyjemności związanych z gastronomią i współbiednictwem. Działania Slow Food wymierzone są przeciwko homogenizującym praktykom postprzemysłowego kapitalizmu.

Dobra żywność dla wybranych?

Slow Food to coś więcej niż protest przeciwko wzorcom kulinarnym rodem z McDonalda. Wokół „wolnych” praktyk gastronomicz-



nych buduje się tożsamość. Antropolożka Alison Leitch łączy rozwój Slow Food na gruncie europejskim z niepokojem wywołanym polityką żywnościową Unii Europejskiej. Unijny reżim standaryzacji przyczynia się do zanikania lokalnej kultury produkcji żywności i lokalnej różnorodności smaków, stanowiących istotne czynniki tożsamości.

Slow Food to niewątpliwie szczytna inicjatywa, ważny głos w polityce żywnościowej. Niemniej, podobnie jak żywność ekologiczna i inne alternatywy do przemysłowej produkcji i szybkiej konsumpcji jedzenia, Slow wpadł w pułapkę elitarności. Profil o charakterze gourmet wykluczył z ruchu wszystkich tych, którzy nie stać na delektowanie się lokalnym rękodziełem kulinarnym. Czyżby to, co zdrowe, lokalne i smaczne stało się towarem luksusowym? Większość Europejczyków nie ma warunków ani czasu, by produkować własne jedzenie, a żywność „slow” jest dla nich za droga. Supermarkety są ciągle jeszcze bezkonkurencyjne dla ich kieszeni. Żywność produkowa-

na i przetwarzana w warunkach przemysłowych, często też dotowana, jest o wiele tańsza od tej z małych gospodarstw. Weźmy chociażby jajka. Cena za tzw. trójkę, z chowu klatkowego może nie przekraczać 50 gr za sztukę. Jaja wiejskie lub ekologiczne można kupić za minimum 1 zł za sztukę. Jak pogodzić jakość ze sprawiedliwością, to jest z równym dostępem do dobrego i zdrowego jedzenia? W dokumentach zapowiadających zbliżający się kongres Slow Food pojawia się postulat prawa każdego mieszkańca planety do wody, pożywienia i ochrony przed głodem. Od postulatów do rzeczywistych zmian polityczno-gospodarczych jest jednak jeszcze daleka droga.

Slow Food na Jazdowie

W Polsce Slow Food też się rozwija. W lipcu park przed warszawskim Centrum Sztuki Współczesnej ożył dzięki uruchomieniu projektu Zielony Jazdów, który potrwa do 15 września. Między drzewami zawisły hamaki, na polance stanął letni bar, w którym

serwowane są między innymi soki ze świeżych warzyw i owoców oraz wegańskie frykasy z grilla. Niestety, mała szklanka soku za 15 zł dla niektórych może być zbyt dużym luksusem, a daniem z grilla „ciężko się najeść i trzeba na nie wydać 20 zł”, jak mówi jedna z degustatorek.

Jednym z elementów „CSW na trawie” są prezentacje i warsztaty organizowane przez Slow Food Youth. Grzegorz Łapanowski, założyciel fundacji Slow Food Youth Warszawa, mówi o celach organizacji: – Okazało się w pewnym momencie, że Slow się trochę starzeje. Jest wielu młodych ludzi, których ta inicjatywa interesuje, ale oni mają inny język, inną formę działania, inny sposób komunikowania, inne wartości.

Powstał więc Slow Food Youth. Jednym z jego wyzwań jest udostępnienie dobrego jedzenia szerszej grupie odbiorców. – Hasło Slow Food brzmi „good, clean and fair”. Myślę, że powinno brzmieć „for all...” – mówi Grzegorz.

Organizacja jest więc zorientowana na działanie społeczne i szerzenie wartości wspólnotowych poprzez jedzenie. Slow Food Youth szczyty się projektem Szkoła na Widelcu, skierowanym do dzieci, nauczycieli, rodziców i decydentów. Na Zielonym Jazdowie dzieciaki przygotowały na przykład sałatkę z polskich owoców.

Poza elitarną modę

Slow Food wpisuje się w nurt pokrewnych mu ruchów, takich jak de-growth czy agroekologia, postulujących przededefiniowanie wartości organizujących współczesną kulturę konsumpcji. To jednak nie rewolucja. Zmiana ma raczej zachodzić powoli i w ramach istniejącego systemu. Zdaniem Łapanowskiego radykalna krytyka dominującego systemu tylko go promuje. Należy raczej mówić pozytywnie o celach Slow Food: bioróżnorodności, jakości produktów, tradycji kulinarnych, tożsamości lokalnej i narodowej.

Jednak wciąż pozostaje pytanie, czy Slow Food, podobnie jak wiele innych alternatyw, nie jest przede wszystkim modą. Ekskluzywną praktyką, która zamiast zmieniać dominujące wzorce, stwarza po prostu rynkową niszę dla ekskluzywnej konsumpcji. Żeby przetrwać w dominującym systemie, trzeba być albo wyjątkowym, albo elitarnym. Tylko globalna ewolucja świadomości oraz rzeczywista zmiana polityki gospodarczej mogłaby temu zaradzić. ●

Program projektu „Zielony Jazdów”:
www.csw.art.pl

Liane Riss/Westend66/CORBIS



Poszukiwacze przycisku

Korporacyjny Wielki Brat marzy o zaglądaniu do naszych mózgów, by łatwiej sprzedać nam to, co ma do sprzedania

TOMASZ BOREJZA

Korporacyjny Wielki Brat oczywiście próbuje to robić od dawna. Wartość światowego rynku badań marketingowych jest liczona w miliardach dolarów. Pieniądze płyną do ludzi, którzy twierdzą, że potrafią opisać, jak myślimy, co będziemy chcieli kupić lub jak nas do tego zakupu prze-

konać. Do niedawna takie próby wymagały współdziałania ze strony badanych. Klienci mogli przecież kłamać, nie chcieć powiedzieć, co myślą lub – co jest prawdziwą zmurą dla marketingowych badaczy – nie potrafić wyrazić własnych emocji. Do tego nie wszystkie decyzje podejmujemy do końca świadomie.

Bywa i tak, że nie wiemy, dlaczego coś lubimy, a coś innego wzbudza w nas niechęć.

Dziś specjaliści od neuromarketingu obiecują korporacjom, że to ograniczenie zniknie dzięki zastosowaniu neurobiologii i jej metod badawczych. Podobno, zaglądając bezpośrednio do mózgu konsumenta, będzie można

dowiedzieć się o nim więcej, niż on sam wie o sobie. Dziś te jeszcze niedawno traktowane z dystansem zapowiedzi cieszą się coraz większym zainteresowaniem. Przełom nastąpił kilka lat temu, kiedy pewien naukowiec z Baylor College of Medicine postanowił wykorzystać możliwości funkcjonalnego magnetycznego rezonansu jądrowego (fMRI) do przeprowadzenia własnej wersji tzw. Pepsi Challenge.

Marka i mózg

Wybrał dobrze, ponieważ Pepsi Challenge była w środowisku reklamy kampanią legendarną. Wszyscy wiedzieli, w jaki sposób pod koniec lat 70. i na początku lat 80. Pepsi Co. zaczęło z sukcesami gonić swojego największego rywala. Chwyt polegał na tym, że co roku przeprowadzano testy, w których ludzie byli proszeni o „wzięcie łyeczka” z dwóch kubków i wskazanie napoju, który smakował lepiej. Większość – ok. 57 proc. – wskazywała słodszy pepsi, a firma wykorzystywała to w kampaniach reklamowych, w których przekonywała, iż jej produkt jest po prostu lepszy.

Read Montague przeprowadził dokładnie taki sam test. Z tą jednak różnicą, że 67 ochotników zamknął w skanerach fMRI. Okazało się, że spróbowanie obydwu rodzajów coli w podobnym stopniu aktywowało układ nagrody pijących. Ale kiedy test przestał być „ślepy” i pijących informowano, czy w kubku jest pepsi czy coca-cola, zauważano nieco inną reakcję. Aktywowały się rejony mózgu związane z pamięcią, a 75 proc. badanych twierdziło, że coca-cola smakuje lepiej. „To pokazuje, że marka jest ceniona przez nasz mózg wyżej niż zawartość puszeki” – komentował autor eksperymentu.

Przycisk zakupowy

Ile w tym racji, do końca nie wiadomo. Jednak połączenie nowoczesnej technologii z obietnicą zdobycia użytecznej wiedzy o klientach przyciągnęło uwagę ludzi odpowiedzialnych za reklamę i dysponujących milionowymi budżetami na badania marketingowe. A także dość liczne grono naukowców, którzy zaczęli zakładać kolejne agencje oferujące usługi tego rodzaju. Nie mogło być inaczej – efektowne naukowe opakowanie, wykorzystanie nowoczesnych technologii i bardzo wysoka cena sprawiają niespotykane dotąd wrażenie skuteczności. Neuromarketing obiecał swoim korporacyjnym klientom coś, o czym marzy każdy z nich: odpowiedź na pytanie, jak podejmujemy decyzje.

– Świętym Graalem neuromarketingu jest znalezienie „przycisku zakupowego”, takiej

techniki, która pozwoli na modelowanie zachowań zakupowych konsumentów, stymulowanie ich do zakupu określonego produktu – mówi Jacek Szlak, redaktor naczelny „Marketingu przy Kawie”. Sami badani nie są świadomi mechanizmów decydujących o określonym zachowaniu. Neurobiolog Gregory Berns wraz z Danem Arielym pisali na łamach „Nature Reviews”: „Taka ukryta informacja mogłaby teoretycznie zostać użyta do wpływania na ich zachowania zakupowe. Zyski z poprawienia produktów i zwiększonej sprzedaży mogłyby przeważać koszty przeprowadzania badań z wykorzystaniem neuroobrazowania”.

Naukowcy wymieniali branże, w których neuromarketing wydaje się mieć szczególnie ciekawe perspektywy: przemysł spożywczy, rozrywka, architektura, polityka i oczywiście reklama. Tam, gdzie można lepiej zaprojektować produkt lub szczególne znaczenie ma komunikacja i nasze reakcje. Para naukowców twierdzi, że „korzystanie z neuroobrazowania przez wytwórców w celu opracowania bardziej atrakcyjnych produktów żywnościowych jest zarazem wykonalne i prawdopodobne”. Realne może stać się stworzenie „żywnościowej superheroiny”. Czegoś tak smacznego, że większość ludzi nie będzie się umiała powstrzymać. Jednocześnie wskazują na potencjał neuromarketingu w produkcji filmowej i rozrywce, gdzie z neuroobrazowania mogą korzystać montażyści. Przy czym chodzić ma oczywiście nie tyle o kino najlepsze, ile o to najbardziej kasowe. Podobnie miałyby się stać z reklamą i politycznym marketingiem.

Korporacja zrobiona na science fiction?

Opublikowanych badań potwierdzających użyteczność neuromarketingu na razie nie jest wiele. Okazuje się (to wyniki Gregory’ego Bernsa i Sarah Moore), że badania w skanerze fMRI pozwalały z przyzwroita trafnością określić szansę piosenki na zostanie hitem, inne – wiedza uzyskana dzięki nim jest „sprzedawana” jako odkrywcza – pozwoliły stwierdzić, że samochody sportowe bardziej pobudzają układ nagrody niż miejskie mikrasy. I to, że marki, które znamy, oddziałują na nas mocniej niż te nieznanne. Przechwałki neuromarketerów sprowadzają się jednak częściej do mówienia, co da się zrobić, i kreślenia wizji możliwości, które stwarza nowa technologia niż do przedstawienia konkretnych. Połączenie deklarowanego zadowolenia z siebie z pewną wstydlivością w pokazywaniu wyników budzi podejrzenia, co w rzeczywistości dzieje się w agencjach neuromarketingowych? Tak dużo, że strach o tym mówić? Czy tak mało, że wstyd o tym mówić?

– Ludzie boją się słowa „manipulacja” i każdy boi się takich zarzutów – odpowiada neurobiolog prof. Jerzy Vetulani. – Myślę jednak, że nie ma tam spektakularnych sukcesów. To jest trochę jak science fiction: można to ubrać w ładne opakowanie i ładnie o tym mówić, ale podejrzewam, że to wszystko jest trochę naciągane – dodaje i porównuje neuromarketing do przemijających mód takich jak programowanie podprogowe lub cybernetyka. Opowiada też, że jego zdaniem to przede wszystkim biznes samych agencji, które chcą drogo sprzedać coś, co w rzeczywistości nie jest zbyt wiele warte. Podkreśla, że jak dotąd brak przekonujących dowodów na to, iż takie metody dają pożądane efekty.

– Neuromarketing to bardzo ładna nazwa i interesujące opakowanie, ale nie wychodzi poza odkrycie mechanizmów, które od dawna znano dzięki psychologii. Oczywiście wiemy coraz więcej o tym, co pobudza pamięć, aktywność mózgu. Jednak w przypadku reklamy ubrane to jest w naukowy żargon, który praktycy znają już od dawna – mówi. Rzeczywiście: trudno zauważyć przełom w technikach reklamowych stosowanych w ostatnich latach. Być może niektóre rzeczy zostały dopracowane. Zapewne są bardziej efektywne. Nie da się jednak mówić o poważnej zmianie jakościowej.

Neuromarketing kapitalizmu

Wygląda na to, że naukowcy zakładający agencje neuromarketingu robią z korporacjami to, co zwykle one robią z klientami. Są przede wszystkim doskonałymi specjalistami od reklamy. Udało im się coś drogo sprzedać ludziom, którzy sami żyją ze sprzedawania czegoś innym. Tempo rozwoju nauki – nie tylko neurobiologii – jest ogromne i jest to powód do zadowolenia. Jednak łatwość, z jaką korporacyjni decydenci sięgają po nowinki technologiczne dające im obietnicę wejścia w rolę Wielkiego Brata, martwi. Trudno mieć złudzenia, że uda się zapanować nad ich chęcią dobrania się do naszych myśli, jeśli rzeczywiście stanie się to możliwe.

– Tych badań nie da się wstrzymać, korzystają z nich największe koncerny. I na pewno z nich nie zrezygnują z pobudek etycznych, szczególnie jeśli w efekcie przynosi to jakąś wiedzę pozwalającą na uzyskanie przewagi nad konkurencją. W hiperkonkurencyjnym świecie nie mogą sobie na to pozwolić – mówi Jacek Szlak. Nie mogą, ale też nie chcą i nie muszą. Tak długo, jak długo przyzwyczajają na to nieświadomi niczego klienci oraz prawo.

Narodowy narcyz w popsutym krajobrazie

Czy jesteśmy w stanie sobie wyobrazić, że największe osobowości polskich ruchów narodowo-patriotycznych XXI w. robią jakąś konkretną robotę poprawiającą stan ojczyzny? Na przykład Roman Giertych sprząta parkingi lub sterty śmieci w podwarszawskich lasach. Jarosław Kaczyński łapie kierowców quadów rozjeżdżających parki narodowe. Joachim Brudziński upomina burmistrzów mazurskich wsi, aby nie zezwalały na kładzenie dachówek w niebieskim kolorze. Ojciec Rydzik walczy z koszmarną architekturą sakralną. Czy to możliwe? Jasne, że nie. Ich patriotyzm polega na zanurzeniu się w historię, w ideologiczny zgiełk i walkę z przeciwnikiem politycznym. Oczywiście w imię ojczyzny. Ojczyzna idealnie pięknej. Politycy z prawej flanki w większości czerpią swoją samoocenę z niepodważalnego aksjomatu „wielkości narodu polskiego”. W psychologii taką postawę nazywa się narcyzmem.

Zakochani w sobie samych politycy PiS, niedysyjeszego LPR oraz członkowie wszelkich NOP-ów nie dostrzegają, że to, co naprawdę w Polsce jest piękne, jest bezmyślnie szpeczone. Choćby w Rabce z przerażeniem można stwierdzić, że każdy dom stoi w innym kierunku, ma inną bryłę, inny kolor dachu. Tworzy się swoisty i swojski chaos urbanistyczny. Na cudownych roztoczańskich wzgórzach ktoś stawia gigantycznego gargamela. Gdzie indziej krajobraz niszczą betonowe płyty z trawkami. W historycznych miasteczkach i wsiach na rynkach opakuje się domy pokryte sidingiem (twórca tego wynalazku Woody Allen w jednym ze swoich filmów skazał na wieczne katusze w piekle). Wójt mazurskiej wsi w celu zaoszczędzenia 200 zł pokrywa swoją rezydencję błękitną blachodachówką, niszcząc krajobraz tej pięknej krainy.



KAMIL SIPOWICZ

Autor felietonu
jest historykiem filozofii

Odrębną sprawą są nowe budowle sakralne. Kiedyś to kościoły odróżniały się swym przepychem i stylem architektonicznym od biednych wsi i miasteczek, czuło się tam obecność Boga. Dzisiaj swą szpetotą dorównały one reszcie. Betonowe silosy o dziwacznych i perwersyjnych kształtach, bez harmonii czy architektonicznej teologii na setki lat zniszczyły polski krajobraz. Proboszczowie i wierni, którzy zgodzili się na te szkaradzieństwa, zapomnieli, iż piękno jest jednym z transcendentaliów opisujących Boga. Już Gombrowicz pisał, że Polacy nie mają żadnego poczucia formy. Dziś ta bezforemność napędzana turbokapitalizmem przybrała groteskowe formy.

A przecież podobno istnieją jakieś urzędy i gremia architektów, które się tym zajmują. Nasze narodowe narcyzy nie wołają o pomstę do nieba, że ojczyzna wreszcie wolna z dnia na dzień pogrąża się w brzy-

docie. Woła bełkotać w mediach o przegranych powstaniach, wybuchach w samolotach, aborcji i dzieciach adoptowanych przez gejów. Nie interesuje ich również to, że rozgłosie radiowe, które otrzymały państwowe koncesje, prawie wcale nie grają polskiej muzyki, a jeżeli już, to w nocy, kiedy nikt nie słucha. W dzień zaś sączy się z nich strumień popowego śmiecia komponującego się w jedną całość ze śmieciami w lasach. Za 10 lat nikt już nie będzie wiedział, kto to byli Niemen, Grechuta, Breakout, Republika, o Maanamie z oczywistych względów nie wspominając.

Mój głos to głos wołającego na puszczy. Chociaż czasami zastanawiam się nad tym, co Hitler miał na myśli, uważając nas za podrasę. Przecież tak jak Germanie jesteśmy Aryjczykami, podobno potomkami dumnych Sarmatów. Może chodziło mu o to, że sami nie jesteśmy w stanie zadbać o własną ziemię, o kulturę krajobrazu, o naturalne piękno. Przecież nie jest możliwe, aby Niemcy w swojej wsi postawili każdy dom w innym kierunku, w innym kolorze, z setką wieżyczek. Aby w średniowiecznym miasteczku ktoś zapakował historyczny budynek w ohydny siding. Aby jakiś bezmyślny bauer w Szwarzwaldzie położył niebieski lub żółty dach. Nie robi tego także żaden Francuz, Włoch, Norweg, Hiszpan. Nikt na zachód od Odry i Nysy Łużyckiej. Tylko my Polacy, złote ptacy, nasramy we własne gniazdo. Brzmi to brutalnie, lecz może tak trzeba, coś się zmieni i niektórzy pójdą po rozum do głowy. Może Kaczyński, Brudziński, Giertych zbudzą się z narcystycznego snu i rojenia o bohaterach przegranych powstań, chwycą za foliowe worki i dadzą reszcie przykład. Znając jednak życie, będzie, jak było, a ja zostanę nazwany Żydem, masonem, zdrajcą albo faszystą. Odpowiednie podkreślić.

TEŻ PYTANIE



Ten, kto pyta, nie błądzi. A my szukamy odpowiedzi na wasze pytania. Nadsyłajcie je na adres: nauka@przekroj.pl. Co tydzień przyznajemy nagrody!

JOANNA OMORSKA

1. Czy mamy gen empatii (wrodzone mechanizmy), czy też jesteśmy urodzonymi egoistami i dopiero w procesie socjalizacji uczymy się współpracy oraz dzielenia z innymi?



EMILY FERGUSON/CORBIS

Bardzo ciekawe pytanie, na które wielu z nas odpowie, że niemożliwe jest, byśmy rodzili się z genem współodczuwania – w końcu jesteśmy drapieżnikami i musieliśmy walczyć (jako gatunek i w ramach gatunku) o przetrwanie. Tymczasem według „Proceedings of the National Academy of Sciences”, gdzie opisano ubiegłoroczne badania koordynowane przez Uniwersytet Kalifornijski w Ber-

keley, obcy sobie ludzie mogą w 20 sekund ocenić, kto jest godny zaufania, miły lub współczujący. Ocena ta była niezależna od tego, czy grupa badanych słyszała głos i treść mówiących osób, czy też widziała tylko ich mowę ciała na wyciszonym nagraniu wideo. Ten zaskakujący wynik skłonił badaczy do przyjrzenia się DNA osobom występującym na nagraniach.

Ci, których oceniono jako empatycznych, mieli charakterystyczny genotyp zawierający dwie kopie wersji G genu receptora oksytocyny. Ci z najgorszymi wynikami występowała jedna kopia wersji A lub dwie. Co różni zachowania ludzi z różnymi kombinacjami alleli receptora oksytocyny, czyli AA, AG lub GG? Osoby GG cechują się większą otwartością – podtrzymują kontakt wzrokowy, uśmiechają się, często potakują, ich mowa ciała jest łatwo odczytywalna, a pozycja ciała bardzo otwar-

ta. Natomiast osoby AG i AA mają trudności w postawieniu się na miejscu innych i często denerwują się w stresujących sytuacjach.

Warto jednak zaznaczyć, że posiadanie alleli GG to tylko pewne predyspozycje, bo o empatii i zachowaniach społecznych nie decyduje jeden gen, ale cały zespół czynników, np. edukacja, zwyczaje kulturowe czy wzorce rodzinne.



Leonard Gertz/CORBIS

3. Dlaczego pszczoła żądli raz, a osa wiele razy?

Jest to związane z budową ciała obu tych owadów. Żądło (tzw. sztylet) pszczoły ma na sobie drobne haczyki, które blokują się tak mocno w ciele ofiary, że pszczoła nie ma siły go wyciągnąć. Dlatego gdy ukąsi, zużywa cały swój jad, a później ginie. Natomiast osa ma sztylet gładki, dlatego może żądlić wielokrotnie. Przy ataku nie zużywa także całego jadu i w dodatku „woła” na pomoc inne osy. To „wołanie” odbywa się tak, że gdy osa wyjmie żądło po ataku, wydziela specyficzny zapach przywołujący kolejne owady z roju i zachęcający je do pomocy.



Nasza nagroda:

„Starożytne cywilizacje. Wierzenia, mitologia, sztuka” – Wydawnictwo Naukowe PWN

2. Jaki jest związek między czytaniem a defekacją? W większości mieszkań w wc leżą jakieś czasopisma...

Za proces defekacji, czyli oddawania kału, odpowiadają skurcze błony śniowej odbytnicy oraz przepony i mięśni brzucha (tzw. tłocznia brzuszna). Trudno podejrzewać, by czytanie mogło mieć jakiś wpływ na działanie tych części ludzkiego ciała. Trzymanie gazet czy książek w toalecie wynika więc raczej z powszechnych zapałów. Prawidłowa defekacja powinna odbywać się raz dziennie i trwać równie krótko co oddawanie moczu. Kto wypróżnia się rzadziej lub spędza w WC więcej czasu „w grubszej sprawie”, ten ma kłopoty trawienne i zamiast czytać, powinien zasięgnąć porady u lekarza. Jeśli problem



Angelo Cavalli/CORBIS

nie jest poważny, można sobie pomóc, pijąc jogurty i co najmniej dwa-trzy litry wody dziennie.

Czytać jednak każdy i tak powinien codziennie, tyle że w bardziej wygodnym miejscu...

MAREK RACZKOWSKI



Wisła – kraina niczyja

Przez lata Warszawa odwracała się od rzeki. Dziś życie wraca nad Wisłę, a artyści – na przykład kolektyw fotograficzny Sputnik w projekcie „Miejsce odległe” – inspirują się jej tajemniczą, ukrytą naturą

JACEK TOMCZUK

Wisłę jako temacie dla sztuki tkwi pozorna łatwość. Jest blisko, tuż pod ręką, nie trzeba się tłuc na drugi koniec świata, by ją sfotografować. Ale przez to jakoś się ją lekceważy, odsuwa w czasie – zawsze będzie okazja, by ją „zrobić” – mówi Agnieszka Rayss.

Ją i czwórkę innych fotografów z kolektywu Sputnik na wycieczkę nad Wisłę namówiło Centrum Nauki Kopernik, samo leżące na 496. kilometrze wiślanego szlaku. Chodzili tam przez rok i powstały wspaniały album oraz wystawa „Miejsce odległe”.

Jak pokazać przestrzeń, którą wszyscy znamy, wiemy, jak wygląda, leży w centrum miasta, lecz do niedawna była zbiorowo igno-

rowana? Bo i po co tam chodzić? Brudna woda, betonowe bulwary, ogródki z piwem i chaszczce tworzą mieszaninę, którą lepiej omijać z daleka. Warszawa – miasto zapatrzone w rozwój i przyszłość – przez lata odwracała się od rzeki. Jednak teraz powoli wraca nad Wisłę – wysyp ciekawych miejsc z bogatym programem kulturalnym czy tłumy na leżakach o czymś świadczą. Rzeka wraca też jako temat, a może tworzywo sztuki. Projekt Sputnika nie jest jedyny.

Gruba Kaśka, pchacz, topielcy

– Fotografowałam proces, bez którego życie w mieście byłoby niemożliwe. Czerpiemy wodę z Wisły i oddajemy ją potem do rzeki.

Gruba Kaśka, elektrownie na Żeraniu, Siekierkach, oczyszczalnia ścieków Czajka, burzowce – to maszynownie, które staramy się chować. Robiłam już zdjęcia wody i energii geotermalnej na Islandii. Tam to jest piękne, siedziałam w elektrowniach godzinami. U nas nie dba się o urodę tych miejsc – opowiada Rayss. Jej cykl nazywa się „Obieg zamknięty”. – To tajemniczy proces, a przy tym dzięki niemu związek mieszkańca Warszawy z rzeką jest podstawowy, zyskuje wymiar fizyczny. Moim tematem jest więc wymiana między rzeką a miastem. Cykl związany z wodą. Staralam się nadać tym zdjęciom tajemniczy, mroczny charakter, bo cały proces pobierania i oddawania wody to sprawa,

której nie jesteśmy do końca świadomi, a która dzieje się bardzo blisko.

– Ja trafiłem do ludzi, którzy wydobywają z rzeki śmierć: do nurków pracujących dla komisariatu policji rzecznej. Rzeka daje życie, ale też jest jego końcem – opowiada Rafał Michalak, który serię swoich zdjęć nazwał „O człowieku, który skoczył z mostu”. – Pokazuję przedmioty znalezione przy ludziach wylonionych z rzeki, stół do sekcji zwłok topielców. Podobno jeden z nich skoczył do rzeki po tym, jak sterroryzował tramwaj, by ten zatrzymał się na środku mostu Poniatowskiego.

– Jestem warszawiakiem, który Wisły nie znał. Z Przemkiem Paskiem z fundacji Ja Wisła poszliśmy na spacer, opowiadał, poka-

zywał nabrzeża. To było olśnienie. Oglądaliśmy pozostałości dawnej świetności, okazało się, że nad Wisłą są ludzie, którzy tamte czasy pamiętają: Stefan pracował na pchaczu (niewielki statek, którego zadaniem jest m.in. pchanie barek, dopychanie statków do nabrzeża), był mechanikiem. Bogdan był rybakiem. Okres, kiedy żyła rzeka, przypada na czas, gdy obaj byli młodzi i aktywni. Dziś są opuszczeni, samotni, podobnie jak rzeka – wspomina Jan Brykczyński. – W ich opowieściach Wisła ożywa. Kiedyś na Czerniakowie była stocznia, w Porcie Żerańskim stały statki i można było przejść z jednego na drugi przez cały port. Był dworzec wodny. Dechy, tańce... Wisła była sposobem funkcjonowania grup społecznych, biznesu, transportu, który gdzieś znikł wraz ze stylem życia i wiedzą o nim.

Cykl Brykczyńskiego nosi tytuł „Mission Completed”.

– Mnie brzeg Wisły służy jako studio fotograficzne. Zapraszam do niego mieszkańców Warszawy, by ich sportretować. Jako tło wykorzystuję naturalną scenerię – opowiada Adam Pańczuk, autor „Studia Wisła”. – Gdy do zakładu fotografa przychodzi klient, robiący zdjęcia za dużo o nim nie wie, tak samo nie wiem i ja. Wisła na moich zdjęciach jest świadkiem czasów, w których żyję. Ludzie się zmieniają, a ona płynie i jest punktem odniesienia. Jak znajduję ludzi? Przypadkiem. W knajpie, czasem na ulicy. Jedną panią spotkałem przy Dworcu Wschodnim. Ma 74 lata, pochodzi z Tadżykistanu. 20 lat temu wyszła za mąż za Polaka. Spodobała mi się jej postawa życiowa: „Możesz żyć, gdzie chcesz, bylebyś był porządnym człowiekiem, to sobie poradzisz”.

– Chodziło mi o pokazanie ludzi, którzy tak wtopili się w nadwiślańskie środowisko, że stali się jego częścią. Tak naturalną, że często trudną do odkrycia – opowiada Michał Łuczak, twórca projektu „Ekosystem”. – Prawie cztery miesiące chodziłem po lesie, który porasta prawy brzeg Wisły, i przez długi czas nikogo nie spotykałem. Potem się okazało, że mijałem ludzkie kryjówki, szafasy, nawet nie zdając sobie z tego sprawy. Jeden z moich bohaterów skrył się w nieczynnym kanale, musiałem chyba parę razy przejść nad jego głową, nie wiedząc, że tam jest. Fotografowałem osoby, które pracują nad Wisłą, czyszczą nabrzeża, ale też takie, które łowią tu ryby, mieszkają, ukrywają się przed miastem i innymi ludźmi. Dlatego oni – na co dzień niewidoczni dla niewprawnego oka – są tak, a nie

inaczej pokazywani na moich zdjęciach. Trudno rozpoznać ich twarze. Nie opowiadam ich historii. Znam ich wiele, ale pozostaną tajemnicą, tak samo jak ci ludzie. Całe to miejsce jest niezwykle: łęgowy las w środku miasta. Nieraz odnosiłem wrażenie, że gdybym złamał nogę i nie miał ze sobą telefonu, nikt by mnie w nim nie odnalazł, pomimo że wciąż słychać dźwięki miasta.

Bobry i butelki

Rok nad Wisłą spędziła Cecylia Malik, która na festiwal Przemiany spłynie do Warszawy kajakiem, by pokazać swój film „6 rzek”.

– Kraków również zapomniał o swoich rzekach, nawet niewiele osób potrafi wymienić dopływy Wisły płynące przez miasto: Wilga, Rudawa, Dłubnia, Prądnik – opowiada Malik. – Kiedy płynęłam Prądnikiem, widziałam olchy wielkie jak dęby, bobry, łosie, aż natknęłam się na pięciometrową zaporę śmieci, głównie pustych butelek. Wrzuciłam zdjęcie na Facebooka i ktoś poradził mi, żebym zrobiła z nich łódkę.

Łódka powstała. Z najtańszych materiałów: butelek, sklejek i sznurka. A z nią cały projekt.

– Postanowiłam zbudować taką łupinkę, na jakiej podróżuje Calineczka, i nią przemierzyć wszystkie krakowskie rzeki. Pokazać, że 15 minut od centrum można przeżyć przygodę niemal baśniową. Czasami miałam wrażenie, że na Mount Evereście bywa dzień nie więcej osób niż na rzece Wilga – mówi artystka. Za każdym razem wyruszała z granicy miasta, a kończyła, wpływając do Wisły. – To podróż po nieznannej stronie miasta. Przeplęwałam pod największymi arteriami komunikacyjnymi Krakowa, okazało się, że pod każdą z nich płynie rzeka, a ja, urodzona krakowianka, o tym nie wiedziałam. Odkryłam wyspę na Wiśle, a na niej zapomniane ogródki działkowe pracowników Nowej Huty. Czad!

Gdzie te wyspy?

Wisła jako „ziemia niczyja” jest idealnym tematem dla ambitnych architektów przeciągających się w pomysłach na odzyskanie rzeki dla miasta. Za urządzenie bulwarów od nowa, zmniejszenie dystansu między brzegami biorą się uznane nazwiska i studenci – chyba nie ma roku, by na Wydziale Architektury ktoś nie obronił pracy na ten temat. Gdyby oddać Wisłę młodym architektom, mielibyśmy już aleję Na Skarpie (Maciej Czeredys), a na niej Park →

→ Muzyki w Jazdowie (Małgorzata Benedek), a nawet wyspę (Nina Wójcicka) z żelbetu. Miałyby stać na wbitych w dno pałach, na jakich opierają się mosty. Większość wyspy zająłby park, a w nim powstałby przeszklony budynek z kawiarnią, salą multimedialną i mediateką.

Pomysł z wyspą nie jest nowy. Pod koniec lat 80. wybitny polski urbanista i architekt Andrzej Kiciński rysował na planach wyspę, na której umieściłby muzea.

– Uważałem, że Wisła jest na tyle szeroka, iż za bardzo dzieli miasto, przydałby się więc rodzaj łącznika – mówi Grzegorz Piątek, założyciel fundacji Centrum Architektury.

Wyspę zaprojektował też Jakub Szczęsny z grupy Centrala. To konstrukcja na beczkach, ma 13 m średnicy i miałyby stać blisko brzegu, by można było wejść na nią po kładce. Na platformie znajdowałyby się rowerki i bieżnie. Ćwicząc, obserwowalibyśmy, jak dzięki sile naszych mięśni pompowana i oczyszczana jest woda z Wisły, która wypływałaby już czysta w fontannie ułożonej pośrodku, między przyrzadami.

– Wyspa byłaby pięknym designerskim obiektem, ale też narzędziem propagandowym pokazującym, że niewielkim wysiłkiem możemy wspólnie coś zdziałać pozytywnego – mówi Szczęsny.

Rzeka na zielono

Woda wpłynęła w obszar sztuki w latach 70. na fali land artu, swoistej rebelii artystów znudzonych czterema ścianami galerii, ale też coraz większą komercjalizacją. Zaczęły się interwencje w pejzaż – wykopy, zalania, wykorzystanie naturalnych procesów (erozja, czynniki atmosferyczne) dla stworzenia działania lub obiektu o charakterze artystycznym. Marszandzi musieli być wściekli. Bo jak wycenić twórczość Any Mendiety? Rysowała sylwetki ludzkie naturalnej wielkości, w postaci obrysów: na piasku, na łące (wyrывая część roślin), na śniegu, układając je ze znalezionych kamieni. Obiekty te istniały często przez parę godzin, znikając w „naturalny” sposób, co było istotnym ich elementem.

W 1970 r. Robert Smithson wydzierżawił 10 akrów ziemi Wielkiego Słonego Jeziora w Utah. Z 6 tys. ton ziemi i kamienia usypał 500-metrową spiralną groblę, łączącą abstrakcyjną formę z kształtem prymitywnych morskich stworzeń.

Dziś land art jest już czystą rozrywką, a jego magiem został Olafur Eliasson. Artysta, który za pomocą nauki i technologii wykroił dla siebie kawałek boskich kompetencji, wprawiając w ruch siły natury i skłaniając światło, wodę, wiatr, zimno, a nawet horyzont do odgrywania spektakli inscenizowanych dla naszej przyjemności. W 2005 r. zbudował w nowojorskim porcie cztery sztuczne wodospady o wysokości blisko 40 m. Jeden z nich spadał z prześle mostu Brooklińskiego. Kaskada, ogłuszający huk, chmura wodnego pyłu, potęga żywiołu. Przez to, że wodospady nie były naturalne, okazały się jeszcze ciekawsze od prawdziwych.

Do tworzenia tej sztuki potrzebna jest rozległa multidyscyplinarna wiedza, ale odbierać może ją każdy wyposażony w pięć zmysłów – tu nie chodzi o to, aby coś zrozumieć, lecz by poczuć i doświadczyć. Projekt „Green river series” (seria Zielona Rzeka) z 1998 r.

„Musimy przyjąć do wiadomości, że Wisła jest atrakcją sezonową. Przez pół roku z przechadzki po bulwarach nie ma większej przyjemności.

polegał na rozpuszczeniu w kilku światowych rzekach (m.in. w Tokio, Los Angeles, Sztokholmie...) jaskrawego, fluorescencyjnego zielonego barwnika, który zmieniał zupełnie wygląd wody, nie wpływając jednak negatywnie na naturalny biosystem.

Ach, gdzie te bulwary

Europejskie miasta cenią sobie sąsiedztwo wody. Londyn kusi wielokilometrowymi bulwarami, które praktycznie nie pustoszą przez całą dobę, mostem dla pieszych autorstwa Normana Fostera czy ogromnym diabelskim młynem nad Tamizą. W Kolonii nad Renem powstało olbrzymie Muzeum Sztuki Nowoczesnej (zresztą na tyłach gotyckiej katedry, jednej z najpiękniejszych w Europie), podobnie Bilbao umiejscowiło Muzeum Guggenheima, a przy nim stworzyło bulwary i most pieszy zaprojektowany przez Santiago Calatravę. W Warszawie na lewym brzegu ludzi od wody odcina sześć pasów Wisłostra-

dy, a powstała już w III RP Biblioteka Uniwersytetu Warszawskiego nie ma nawet wejścia od strony Wisły. A jednak zaczęło się wielkie odzyskiwanie rzeki.

– Nie ma co się oszukiwać: Wisła ożyła na Euro 2012. Wiele klubów chciało zdążyć właśnie na tę imprezę. Już po mistrzostwach, a one dalej działają, program zaś, jaki mają, można nazwać ambitnym – mówi Izabela Rutkowska z Fundacji Form i Kształtów. – Poza tym młodzi animatorzy kultury mają już dość szarpania się z urzędnikami o lokale, pozwolenia, koncesje. Wisła to rodzaj krainy nicyjnej, marginesu, miejsca pod latarnią, gdzie jest najciemniej. Tam nikomu się nie przeszkadza, można zejść urzędnikom i mieszkańcom z oczu i robić swoje.

Może też artystyczno-klubowe ożywienie nad Wisłą jest oznaką kryzysu finansowego. Coraz mniej osób stać na otwarcie lokalu na stałe, całonocnej imprezowni. Barka, wysypany na plaży piasek, dechy do tańczenia, leżaki – mają w sobie coś z partyzanckiego zajęcia pustostanu. Szybko można się wycofać, zaszyć w mieście.

Koniec marzeń o Wiśle

– Myślę, że żyliśmy mitycznym hasłem, jakie Stefan Starzyński rzucił w latach 30.: „Warszawa frontem do Wisły”. Po 1989 r. czekaliśmy na jakąś spektakularną decyzję urbanistyczną, która odwróci to miasto w stronę rzeki – uważa Piątek. – Częściowe schowanie pod trawnikami Wisłostady, powstanie BUW, Centrum Nauki Kopernik, mostu Świętokrzyskiego... To wszystko pomogło Wiśle, ale sytuacji nie zmieniło radykalnie na lepsze. I już nie zmieni. Warszawa ma dziś większe problemy niż kontakty z rzeką i potrzebniejsze wydatki niż np. dalsze chowanie Wisłostady, choć w przyszłym roku rozpocznie się remont bulwarów. Musimy też przyjąć do wiadomości, że w naszym klimacie Wisła jest atrakcją sezonową. Przez pół roku z przechadzki po moście czy bulwarach nie ma większej przyjemności.

Wnioski? Może dotarło do nas, że Wisła nie potrzebuje już wielkich programów sanacyjnych. Ze lepsza jest metoda małych kroków: miejskich akcji, animacji drobnej architektury, życia klubowego. Czyli wzięcia spraw w swoje ręce. Może dlatego powstały takie projekty jak „Miejsce odległe”, „6 rzek”, a knajpy takie jak Cud nad Wisłą, Barka czy Miasto Cypel żyją całą dobę.

Część wypowiedzi członków Sputnik Photos pochodzi z książki „Miejsce odległe”.

Choć takiej publikacji jak twoja jeszcze nie było, Saska Kępa doczekała się ich wielu. Dlaczego postanowiłaś zająć się i tak popularnym tematem?

– Dość niedawno odkryłam tę dzielnicę – wychowałam się po lewej stronie Wisły, rzadko bywałam na Pradze. Znałam kilka pereł architektonicznych, ale dopiero, kiedy zaczęłam spacerować po Saskiej Kępie, dostrzegłam, że dosłownie na każdym kroku można trafić na jakiś ciekawy budynek. Zafascynowało mnie to, że na tak małym obszarze jest zgromadzonych tak wiele cennych architektonicznie obiektów – to unikatowa sytuacja w Warszawie. Warto zwrócić na to uwagę turystom, ale także mieszkańcom stolicy, którzy chcieliby odkryć piękno swojego miasta.

Twój przewodnik poprzedzają historyczny wstęp Grzegorza Piątka i Jarosława Trybusia (również autorów opisów budynków) oraz przedmowa autorstwa historyczki sztuki i warsawianistki Hanny Faryny-Paszkiewicz. Jak największa znawczyni Kępy zareagowała na twoje dzieło?

– Pomysł jej się spodobał, jestem jej też bardzo wdzięczna, bo zrobiła bardzo wnikliwą korektę mojej pracy.

Jeśli ktoś szuka w twoim przewodniku klimatu Saskiej Kępy, to go nie znajdzie. Mam wyjęte z kontekstu budynki, surowe bryły, nieodkryte zębem czasu ani obecnością ludzi.

– Chciałam, żeby czytelnicy „SAS-u...” zwrócili uwagę na architekturę Kępy – przede wszystkim właśnie na same budynki. Gdy spaceruje się ulicami, to trudno je dostrzec, bo są zasłonięte płotami, drzewami, krzewami, schowane w głębi podwórek, często zaniedbane, odrapane. A ja chciałam pokazać je w wersji idealnej: bez ozdób i patyny czasu. Chciałam je wyodrębnić z kontekstu, żeby ludzie zaczęli ich szukać, zwracali na nie uwagę.

W przewodniku nie znajdziemy wszystkich przykładów wyjątkowej architektury Saskiej Kępy. Jak dokonałaś selekcji?

– Razem z autorami tekstów postawiliśmy na połączenie dokładnych rysunków z rzeczowymi opisami. Ale o wielu z wybranych przeze mnie budynków informacji nie udało się znaleźć. Tak było m.in. z piękną kamienicą w stylu okrętowym przy ul. Berezyńskiej 10. Bardzo chciałam go zamieścić, ale niewiele dało się o nim napisać.

Postanowiliśmy też pokazywać tylko budynki istniejące – w książce nie znalazła się np. ważna dla historii dzielnicy, zburzona w 2002 r. przy poszerzaniu Wału Miedzeszyńskiego willa Szylerów projektu Lacher-

Opowieść domów



Robert Gardziński

Warszawska Saska Kępa to niespotykane nagromadzenie świetnej architektury – mówi MAGDALENA PIWOWAR, architektka i graficzka, twórczyni książki-przewodnika „SAS. Ilustrowany atlas architektury Saskiej Kępy”, w rozmowie z Katarzyną Kazimierowską

„SAS. Ilustrowany atlas architektury Saskiej Kępy”, koncepcja i projekt: Magdalena Piwowar, tekst: Grzegorz Piątek i Jarosław Trybuś, wyd. Centrum Architektury

ta i Szanajcy. Kilka ilustracji przedstawia budynki w stanie sprzed późniejszych modyfikacji i przebudów – np. budynek z okładki „SAS-u...”, czyli dom-pracownia Dobrzyńskiej i Łobody, który stracił część charakterystycznej, okalającej dach listwy.

Przewodnik zawiera tylko suche fakty.

Nie chciałaś pogrzebać, jakie historie kryją się za ścianami domów?

– Wtedy anegdoty zasłoniłyby budynki, a to na nich i pokazaniu ich wartości architektonicznej oraz historycznej mi zależało. Ten przewodnik ma dać konkretną wiedzę na temat tego, jakie niezwykle budowle można tu zobaczyć. Myślę, że dobrym pomysłem byłoby zrobienie materiału także o wnętrzach. Sama trafiłam do domu przy ul. Królowej Aldony, zachowanego w idealnym przedwojennym stanie, z oryginalnymi detalami w środku – karniszami, specjalnie zaprojektowanymi klamkami i łazienką z 1938 r. A co najważniejsze – tamtejszymi mieszkańcami są prawdziwi pasjonaci architektury i historii tego budynku. Takich domów i mieszkańców jest na Saskiej Kępie więcej.

Jak przewodnik przyjęli mieszkańcy dzielnicy?

– Podczas premiery książki kilka osób zaproponowało mi, że podzielił się historiami związanymi z dzielnicą, do czego zresztą również zachęcamy (na końcu książki znajduje się adres, na który można wysłać informacje, które nie znalazły się w albumie). Dużym powodzeniem cieszył się też spacer architektoniczny szlakiem budynków pokazanych w „SAS-ie...”, prowadzony przez Jarka Trybusia i Grzesia Piątka.

Przewodnik to nieduża, ale pięknie wydana, prawie albumowa książka. Czy myślisz, że taka jest przyszłość przewodników miejskich: zamiast grubych tomów przeładowanych tekstami i historią, pokazywanie miasta poprzez jego wycinki, rysunki, odpowiednio dopowiedziane kryjącymi się za nimi opowieściami?

– Zaletą takiego subiektywnego przewodnika-spacerownika z mapą i wytyczoną trasą jest to, że może się on sprawdzić podczas krótkiej wizyty w mieście – wybór obiektów ułatwia zwiedzanie. „SAS...” akurat dotyczy tylko jednego, stosunkowo niewielkiego obszaru, ale wyobrażam sobie tego rodzaju publikację dotyczącą całego miasta.

Zasmakowałaś w przewodnikach. Planujesz następne?

– Tak, choć wolałabym jeszcze nie zdradzać szczegółów. Mam też pomysł na inną estetykę, mam nadzieję, że równie zaskakującą. ●

Pływanie z Mironem

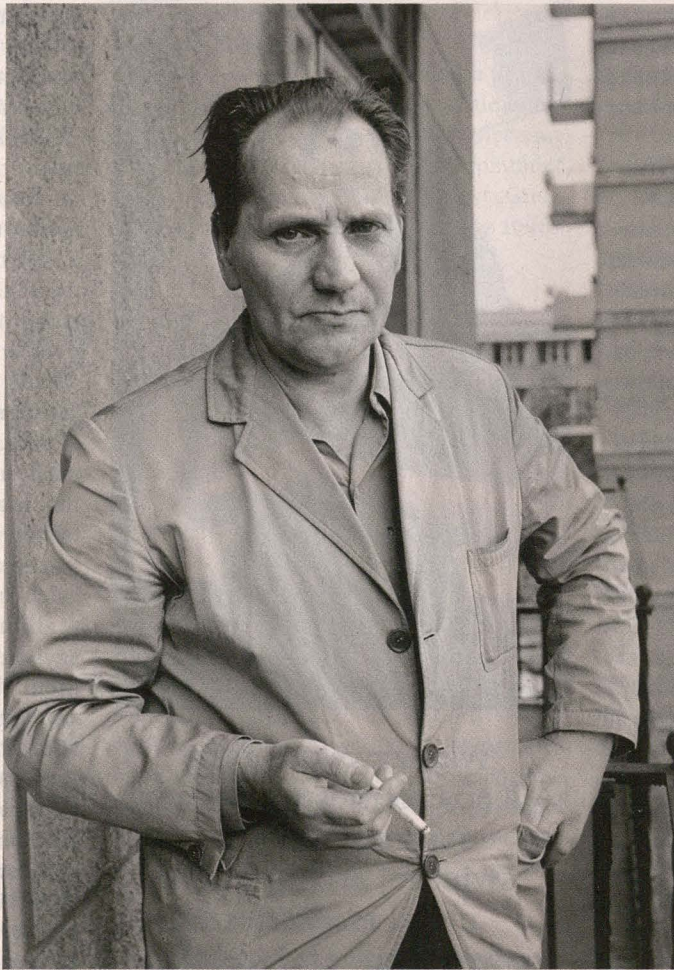
Z PAWŁEM PASSINIM i HANNĄ NOWAK-RADZIEJOWSKĄ – twórcami przedstawienia „Port Miron”, którego premiera odbędzie się 1 września podczas festiwalu Przemiany – rozmawia Patrycja Dołowy

Dlaczego Miron?

P.P.: – Dla mnie to się zaczęło od słuchania niesamowitych nagrań, na których Białoszewski czyta swoje wiersze niewidomej przyjaciółce Jadwidze Stańczakowej. To bardzo intymne nagrania, ale słuchając ich, ma się wrażenie, że jest w nich miejsce i dla innego słuchającego. Miron jest w nich taki niezwykle bliski, wręcz kolega!

Białoszewski jest dla mnie jednym z kluczowych twórców – początkiem poezji, jednym z powodów, dla których w ogóle chce się być artystą. To ktoś, kto rozgrzewa różne zakamarki, miejsca na chwilę zapomniane. Uruchamia coś, co powoduje, że pełniej bierzemy udział w świecie – metafizycznie, a nie tylko fizycznie.

Hanna Nowak-Radziejowska: – W tej afirmacji zwyczajności i codzienności, rzeczywistości na pozór nieartystycznej, można odkryć potrzebę nazywania słowem wszystkiego, co w nas jest i co nas otacza. To trochę tak, jakby Białoszewski mówił, że wszystko, zanim się stanie, musi zostać nazwane, od zasłyszanego dźwięku w bloku lub w szpitalu, po najbardziej wysublimowane uczucia tęsknoty czy zdumienia. Czasem trochę zaskakuje, jak bardzo Białoszewski, pisząc o ludziach, jest pełen ciepła i poczucia humoru. Píše, że trzeba przyjmować ludzi takimi, jakimi są. I chyba to sprawia, że budzą się zaufanie i odwaga zobaczenia siebie jego oczami. Z jednej strony jest to spojrzenie trafnie i prosto opisujące rzeczywistość, z drugiej – przekraczanie niewidzialnej granicy, za którą to, co wydaje się na pozór banalnym sposobem widzenia i przeżywania, staje się nagle pełniejsze i wyjątkowe. Nie trzeba się tego bać ani wstydić. Dlatego projekt „Port Miron” – w tym miejscu, przy użyciu takich form, „narzędzi” ekspresji, jak m.in. sztuka nowych mediów – jest próbą nie tylko opowiedzenia o Białoszewskim i jego Warszawie, ale też o eksperymencie dobierania słów, dotykania ich i składania, czyli o doświad-



Aleksander Jasiński/FORUM

czeniu opisywania świata. A może nawet stwarzania go od nowa.

Intymność, zwyczajność i niezwykłość... Ale i przestrzeń – bardzo u Mirona ważna, u was też jest znacząca.

P.P.: – Białoszewski mówi do nas jak latarnik z nadwiślańskiej latarni, wysyłając sygnał w przestrzeń, w kosmos. Nasze tematy są bardziej lokalne, niż nam się wydaje. I to jest szansa, a nie przeszkoda. Kantor twierdził, iż to problem, że polskie sprawy są tylko polskimi sprawkami, nie mogą być podniesione do rangi uniwersalnych. Ale kiedy dziś widzę wokół niemal wyłącznie produkcje artystyczne międzynarodowo-eksportowe, to potrzebuję Białoszewskiego w jego strasznie wąskim kontekście – jest tutejszy. A my naprawdę musimy wiedzieć, czym chcemy być w tym europejskim musli.

On jest warszawskim poetą. Jednym z niewielu, którzy najmocniej dotykają tego dziwnego miasta. Miasta, w którym każdy rysuje własną mapę, przemyska przez nie, składa je od nowa, a na koniec stwierdza, że nie ma czym się zachwycać. U niego jest zachwyt na każdym kroku. On mówi o mie-

scu, w którym żyjemy, z którego pochodzimy. Jest remedium na szczególny rodzaj bezdomności warszawiaków w Warszawie. Kiedy się go czyta, on płynie. Można z nim do tej rzeki wskoczyć i płynąć razem.

Powiedziałeś o rzece. W waszym przedstawieniu odgrywa ona bardzo istotną rolę.

P.P.: – Spektakl gramy częściowo na wodzie, a widownia siedzi nad Wisłą. To jest miejsce, gdzie Białoszewski przychodził ze swoim przyjacielem, i to tu spotkał Hamleta. Wokół są chaszcze. Zapraszamy w nie widza po to, by mógł kiedyś, stojąc w korku na moście, pomyśleć: „Tu byłem, siedziałem na widowni, a po rzece pływało mieszkanie Mirona Białoszewskiego”.



Barbara Wierucha



Mieczysław Włodarski/REPORTER

To też próba zacumowania Mirona w Warszawie. On jest jak Wisła. Ciągle są jakieś festiwale, święta, żeby Wisłę przywrócić miastu. Co to znaczy oddać miastu rzekę? To poczucie, że mamy coś wspaniałego, co wymyka nam się z rąk. Podobnie jest z Mironem, który jest kwintesencją zadziorności, ironii, humoru, magii i smutku. Dzieciństwa i śmierci.

H.N.-R.: Miron Białoszewski uczy patrzeć na Warszawę. Nagle w różnych miejscach fragmenty jego tekstów przychodzą do głowy i budzą zdumienie – tak, rzeczywiście, tak jest, jak on napisał.

Spektakl jest na Wiśle, jak spełnienie jego przeczcucia z wiersza „A ja stoję z drzewami/na Wiśle”. W podziemiach „Kopernika” gigantyczna ściana z krzewów i drzew to brama do trójwymiarowej przestrzeni dźwięku i obrazu. Sfilmowana Wisła i miasto w 3D to próba wykadrowania rzeki oraz miasta tekstami Białoszewskiego – a wszystko to służy odwracaniu perspektywy na Warszawę. Bo przecież Białoszewski patrzył z bloku na wiadukt, widział w nim most w Avignon, w Pałacu Kultury – świątynię Salomona, a wejście do piramidy przypominało mu kanały podczas Powstania Warszawskiego. Zmiana perspektyw to trochę jak poszukiwanie przez Białoszewskiego „wzajemności widoku”. Jeśli widział z dziewiątego piętra na Lizbońskiej na horyzoncie zamek czyli elektrociepłownię, to jechał zobaczyć swój blok z Siekierki i zastanawiał się, czym jest.

P.P.: To jest trochę jak chodzenie w jego butach, tylko przewrotnie, bo z drugiej strony chcemy się w niego zanurzyć jak w wodę po kolana. Śnić jego sen.

Na stronie festiwalu możemy przeczytać, że będzie to pierwszy w Europie spektakl na wodzie.

P.P.: Tu nie chodzi o wyścig, wyzwanie. To pływanie ma być raczej tak absurdalne, jak czasem bywa Białoszewski. Takie po prostu. Gdy on pisze o sobie: „Ja, stróż, latarnik”, to faktycznie jest stróżem jakiejś przestrzeni, w której możemy się schronić. Na chwilę. Bo zaraz Port Praski stanie się prywatnym, zamkniętym osiedlem, za chwilę może już ciężiej będzie się przebić nad Wisłę.

I to nie ma być też jakieś opus magnum – opisanie żywota twórcy. To nie jedna z tych prób, by zamknąć twórcę w obrazie tak, żeby później było wiadomo: Wałęsa był taki, jakim go Wajda nakręcił.

Białoszewski płynie, ale jest na wyciągnięcie ręki. Można go odłamać kawalek i zjeść. Dziś, gdy artysta robi instalację, na której jest kolacja postawiona na stole, to on nie chce patrzeć, jak ludzie patrzą, tylko chce, żeby ludzie przyszli, usiedli i zaczęli jeść.

A czy nie jest tak, że ci ludzie nie wiedzą za bardzo, jak zacząć jeść?

P.P.: Kto nie wie? Gdy taksówkarzowi przeczytasz wiersz Białoszewskiego, to zrozumie. I poeta też zrozumie. I dzieciak zrozumie – sprawdzałem.

Pomożesz widzowi, by chciał wyciągnąć rękę?

P.P.: Nad Wisłą trudno będzie tylko oglądać. To jest w ogóle niezła wycieczka, po prostu podróż do miejsca, w którym większość w ogóle nie była. Tak, jakbyśmy organizowali wyprawę na Księżyc. Tam zamieszkuje Białoszewski w czterech postaciach. Krąży wokół naszej ziemskiej krzątaniny.

Najpierw więc skok w kosmos, a później pielgrzymka do Centrum Nauki Kopernik – dookoła przez most. A w trakcie będziemy wywrzaskiwać wiersze przez megafon. Wreszcie wylądujemy w świecie, który jest próbą stworzenia wielkiej maszyny, za pomocą której można wejść w rzeczywistość poety. Zobaczyć obrazy jego okiem. To próba pokazania artysty jako dziwnego, zaskakującego stworzenia. W muzeum w Edynburgu widziałem ciekawy eksponat, który pokazuje, jak mucha widzi świat. To będzie chyba coś takiego.

Tę instalację odnajdziemy w podziemiach „Kopernika”?

H.N.-R.: Instalacje to rodzaj sytuacji teatralnych tworzonych według konkretnego zamysłu. Anna Met zaprojektowała niezwykle scenografię, w której widz będzie mógł poczuć się współtwórcą wydarzenia.

Żyjemy w czasach, kiedy poezja wydaje się niszowa i niepotrzebna, a ludzie częściej chodzą do psychoterapeuty, niż czytają wiersze. Chodzą, bo potrzebują nazywać swoje stany emocjonalne, rozróżniać podstawowe uczucia, np. że złość różni się od gniewu. Człowiek szuka słów, żeby siebie opisać, bo bez tego nie potrafi funkcjonować, nie może zrozumieć, co się w nim dzieje.

Główną osią wydarzenia w podziemiach „Kopernika” będzie specyficzny koncert. Denis Kolokol razem z Danielem Mońskim zbudują system architektonicznego dźwięku. Uczestnik będzie mógł dotknąć słowa jak materialnego, choć niewidzialnego bytu. Poszczególne zdania i słowa z nagrań Mirona Białoszewskiego dla Jadwigi Stańczakowej, fragmenty utworów Tomka Gwincinskiego i Natalii Przybysz ze spektaklu będą krążyć między uczestnikami, posiadając wszystkie wymiary, ciężar – tak jak przedmiot. Będzie można eksperymentować – dotknąć ich, zmienić ich położenie, dowolnie je kształtować.

Projekcje 3D warszawskich miejsc związanych z Mironem Białoszewskim w interakcji z gestami widza odsłonią swoje nowe znaczenia i konteksty. Parkometri na zadany temat wydrukują wiersz Mirona Białoszewskiego.

Piękny jest fragment, gdy poeta w nocy idzie do znajomych, staje pod blokiem, oni śpią, ale on słyszy ich oddechy. To jest taki rodzaj wrażliwości, sposób przeżywania! To próbujemy w podziemiach Kopernika uruchomić przy pomocy sztuki nowych mediów, działań teatralnych i partycypacyjnych – wrażliwość, którą każdy ma.

Każdy może być własnym Mironem?

P.P.: A równocześnie on wyskakuje przed wszystkich w swoim języku, zachowuje się jak dziecko. I w ogóle się tego nie wstydi.

H.N.-R.: Na początku chcieliśmy, żeby po tym projekcie ludzie chcieli napisać własny wiersz. Wiadomo, nie chodzi o to, że wszyscy staną się poetami. Wydaje nam się, że kiedy to, co nazywamy kulturą, rozłożymy na części pierwsze, to jedną z podstawowych rzeczy, jaką otrzymamy, jest słowo. I to jest jakiś paradoks i wyzwanie zarazem – jak dużo, jak mało, aby zacząć składać siebie od nowa.

„Port Miron”, 1 września, godz. 20–21 (spektakl), 21–0 (instalacje), wyspa przy moście Śląsko-Dąbrowskim oraz poziom -1 w Centrum Nauki Kopernik, program festiwalu Przemiany: www.przemianyfestival.pl.

Dialog rzemiosła z designem



Szwec
w swoim zakładzie
z Jackie
Kołodziejki

Sześciu rzemieślników, sześciu designerów, sześć obiektów. Fundacja Form i Kształtów realizuje w ramach festiwalu Przemiany projekt „6X6”, który ma zwrócić uwagę na niedocenianą pracę szewców, szklarzy czy krawców

PATRYCJA DOŁOWY

W każdym zakamarku warszawskiego Powiśla – niegdyś biednej dzielnicy portowo-fabrycznej – można znaleźć jakiś zakład rzemieślniczy. Niektóre są zapomniane, inne – odwiedzane przez stałych bywalców – dobrze prosperują. Żaden z nich nie rzuca się jednak w oczy, bo rzemiosło nie jest promowane, a z powodu rozwoju technologii wiele zawodów przestaje być potrzebnych. Ludzie coraz rzadziej robią coś na miarę, zwykle kupują gotowe rzeczy. Niezbyt oryginalne i szybko się psujące. Takie, które – gdy się zużyją – po prostu się wyrzuca, zamiast reperować. Rzemieślnicy nie są zatem doceniani, a ich zawód nie wiąże się z wysoką pozycją społeczną.

Niewiele osób koncentruje się na tym, żeby własnoręcznie coś wykonać, nie szanuje

się ludzi, którzy posiadają takie umiejętności – mówi Iza Rutkowska, autorka i kuratorka projektu „6X6”. – Dużą nierównowagę sił można dostrzec już w traktowaniu rzemieślników i osób wykonujących pracę „kreatywną”, np. designerów. Ci pierwsi traktowani są gorzej i często niegodnie w stosunku do tego, ile warta jest ich praca. Pociąga to za sobą wiele konsekwencji. Niewiele jest ludzi, którzy chcą uczyć się zawodu. Większość chce iść na studia, wybierają kierunki niedające twardych umiejętności. Coraz mniej ludzi potrafi dziś zrobić rzeczy namacalne. W projekcie „6x6” chodziło o to, żeby przełamać pewne stereotypy, docenić pracę rzemieślników, którzy dostarczają nam ułatwiające życie usługi i przedmioty, ale również poznać historię ich zakładów oraz osobowość ich właścicieli. Zadanie poznania tych historii i opowiedzenia ich przez stworzone w zakładach instalacje dostali projektanci.

Ośmielacz społeczny

Z Izą Rutkowską spotkałam się w jednej z najstarszych warszawskich klubokawiarni – Chłodna 25. Nie przez przypadek. To świetne miejsce na porozmawianie o tym, czym jest projektowanie interakcyjne. A właściwie pewna mutacja działań „site specific”, czyli takich, które są tworzone dla konkretnego miejsca. Chodzi o to, by nadać mu nowe znaczenie, by mobilizować ludzi – użytkowników tej przestrzeni – do dialogu, wykorzystując lokalne narracje. Tworzyć platformę wymiany doświadczeń i wspólnych działań zarówno dla twórców, jak i obserwatorów kultury. Celem projektów realizowanych w Fundacji Form i Kształtów jest często tworzenie razem z ludźmi, wykonanie ręcznie jakiegoś obiektu. Taki „ośmielacz”, jak go określa Rutkowska.

Ludziom łatwiej jest nawiązać kontakt, kiedy mają pretekst do wspólnych działań. Ze sztuką

jest tak samo jak ze wspólnym gotowaniem kolacji. Ludzie są razem w jakimś jednym miejscu, nie znają się, są skrępowani, ale mają cel, robią razem obiekt „hand made”. Wymieniają się różnymi doświadczeniami, poznają się i ośmielają – opowiada Rutkowska.

Projekty Fundacji Form i Kształtów często służą do rozwiązywania konfliktów społecznych. Takim projektem była „Wyprzedaż” zorganizowana w maju w klubokawiarni Chłodna 25. Chodziło o mediację w sporze pomiędzy właścicielem kawiarni a wspólnotą mieszkaniową, której przeszkadzał hałas generowany przez gości lokalu. Sytuację dodatkowo utrudniły media, tworząc wizerunek „strasznej, nieprzyjemnej wspólnoty”. Zupełnie nie odpowiadało to Grzegorzowi Lewandowskiemu z Chłodnej. Nie chciał być przeciwko mieszkańcom, ale ciężko było mu zdobyć ich przychyłność.

„Wyprzedaż” była nietypowa. Stworzyliśmy model kawiarni z papieru we współpracy z pracownikami lokalu. Zarówno jedzenie, meble, jak i właściciel lokalu mieli swoje papierowe odpowiedniki. Wspólnota z kolei pomogła w przygotowywaniu papierowego szyldu reklamującego akcję. Mieszkańcy eksponowali litery ułożone w hasło „wyprzedaż” na swoich balkonach. Wspólne wykonywanie papierowych obiektów ułatwiło dialog. Na wyprzedaży w kawiarni pojawiła się część mieszkańców. Nie wszyscy. Zawsze znajdzie się ktoś, kto nie chce się przyłączyć. Ale część tak. I to zawsze trochę otwiera – mówi Iza.

Zachęca również do zmiany przyzwyczajeń, sposobu myślenia, jak w przypadku „Grzybobrań” albo „Wędkowania”, gdzie obiekty

i przestrzeń są tylko pretekstem lub mają wymiar edukacyjny jak „Teren budowy”, który jest realizowany w małych miasteczkach i pozwala ich mieszkańcom dowiedzieć się czegoś więcej o ich otoczeniu.

Pajęczyny, Afryka i magiczny klucz

Wiele metod działania Fundacji Form i Kształtów zostało użytych podczas projektu „6x6”. Wśród zaproszonych projektantów znaleźli się Anna Piwowar, Beton, czyli Marta i Lech Rowińscy, Gosia Rygalik, Jacek Kołodziejki i Robert Czajka. Wśród rzemieślników są szewc, szklarz, krawcowa, właścicielka magla, tokarz i stolarz (nie chcieli podać swoich nazwisk). Są różni – inaczej widzą swoją pracę, mają inne pomysły.

To jest zabawne, bo każdy z projektantów zaczynał prace nad projektem z gotowym pomysłem, jednak pod wpływem miejsca, sytuacji i rozmów z rzemieślnikami projekt stopniowo ewoluował. Robert Czajka na przykład długo zdobywał zaufanie szklarza, który do jego pomysłów podchodził z dystansem. W końcu udało się stworzyć projekt „Uniwersalnego lustra”, które będzie można podziwiać przed zakładem szklarza – opowiada Rutkowska.

Niektóre pomysły narzucały się same. Jak w przypadku stolarza, z którym pracuje kuraorka. Pan Bogdan przez 20 lat był zatrudnio-

ny w teatrze. Budował scenografie. Przy tym jest zbieraczem, kolekcjonuje przedmioty, które przynoszą mu ludzie – zakurzone stare talerze z Belgii, meble odnalezione na śmietniku i przerobione zbroje. Wszystko to znajduje się w artystycznym nieładzie, porośnięte pajęczynami – „w takim ogarniętym bałaganie” – jak to określa.

Wspólnie postanowili więc tę swoją magiczną przestrzeń uczynić sceną, w której przedmioty grają główne role.

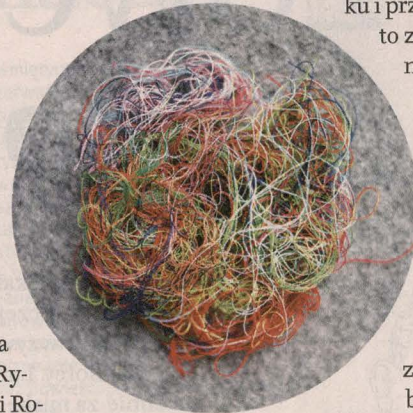
Nieco trudniej było z szewcem. Z początku nie był przekonany do całego przedsięwzięcia. Ma 80 lat i już od dawna nie robi obuwia na zamówienie. Tylko je

naprawia. Czasem ludzie przynoszą mu buty i nigdy po nie nie wracają, więc leżą tu całe lata. Dlatego w końcu z Jackiem Kołodziejkiem wymyślili, że jedna z pozostawionych par będzie pretekstem do dyskusji o estetyce, modzie i prywatnych upodobaniach. Wspólnie chcą przerobić buty w taki sposób, żeby właściciel zechciał po nie wrócić.

Świetnie dogadały się Anna Piwowar z właścicielką magla. Okazało się, że pani Teresa skończyła afrykanistykę na Uniwersytecie Warszawskim, zna suahili i podkładała głos Mei w filmie „W pustyni i w puszczy” Władysława Ślesickiego z 1973 r. Pani Teresa nauczyła Anię krochmalic, dała jej komplety pościeli zostawionych przez klientów, żeby mogła ćwiczyć w domu. A Afryka stała się inspiracją do wykonania instalacji w zakładzie. Z wykrochmalonych ścinków pani Teresa z Anią stworzyły figurki afrykańskich zwierząt. Coś w rodzaju origami. Wymyśliły, by zrobić gablotę na numerki, które przyczepia się do oddawanej do magla pościeli. Jeszcze inaczej było w przypadku krawcowej. To projekt, który jest odpowiedzią na rzeczywistą potrzebę. Gosia Rygalik zaprojektowała gablotę na nici, która usprawni działania, a przy okazji będzie stałym elementem pracowni i pretekstem do stworzenia kolejnego obiektu. Marta i Lech Rowińscy razem ze ślusarzem skonstruowali klucz, który otwiera wszystkie drzwi.

Wszystkie projekty będzie można oglądać między 3 a 9 września 2012 r., odwiedzając zakłady rzemieślnicze zamienione na czas festiwalu w minigalerię.

Program festiwalu Przemiany:
www.przemianyfestiwal.pl



Krawcowa z Gosią Rygalik
zaprojektowała gablotę na nici



Instalacja
„Wytrych”
– efekt pracy
ślusarza
z Martą
i Lechem
Rowińskimi

Ryżowe i różowe perspektywy



TOMASZ PIĄTEK
Autor felietonu
jest pisarzem

Media mainstreamowe (czyli jedno i drugie mainstreamu, donaldowego i kaczorowego) kłócą się o rodzinę Tusków, a religię smoleńską powoli zaczynać wypierać religia ambergoldowa. Tak samo, jak kiedyś religię lustracyjną wyparła religia smoleńska. Aż strach, jak szybko zmieniają się religie naszej kato-psycho-prawicy, formacji, wydawałoby się, przecież konserwatywnej. Czy konserwatywnym bałwochwalcom wypada tak szybko zmieniać bałwany?

Oczywiście nie zaprzeczam, że sprawa Amber Gold, jako wyjątkowo obrzydliwa, zasługuje na uwagę. Takie lokalne newsy nie powinny jednak wypierać z naszej świadomości ważniejszych globalnych informacji. Dwie bardzo ważne wiadomości przeszły w Polsce kompletnie niezauważone. Oto wiadomość numer jeden: producenci chcą wycofać się z Chin, ponieważ tamtejsze koszty pracy stały się dla nich... zbyt wysokie. Przedsiębiorcy szukają tańszych krajów i tańszej siły roboczej.

Kiedy się o tym dowiedziałem, moim pierwszym odruchem był okrzyk: „Matko

Boska Kołakowska!” (patronka czytelników „Gazety Wyborczej”, jedyna Matka Boska, jaką czasem wzywam). Rozbestwili się ci przedsiębiorcy. Ludzie pracujący 16 godzin dziennie za miskę ryżu są dla nich za drodzy. Ktoś do tej miski dołożył jeden pierożek i koszty pracy okazały się zabójcze dla biznesu. Najwyraźniej w warunkach bezlitosnej globalnej konkurencji cenowej jeden pierożek staje się dla kapitalisty pierożkiem drewnianym (pierożek drewniany, zimnym mięsem nadziewany, czyli trumna).

Po tej refleksji przyszła refleksja druga, trochę bardziej optymistyczna: no dobrze, założmy, że teraz przedsiębiorcy przeniosą się do Afryki, na Grenlandię, na Antarktydę, zaczną wyzyskiwać Eskimosów i pingwiny. Czy po pewnym czasie nie stanie się tam to samo co w Chinach? Co będzie, jeśli na skutek burzliwego rozwoju pensje pracowników też tam wzrosną i nawet pingwiny zaczną się domagać dodatkowego śledzia? Gdzie wtedy znajdą dla siebie kąta ci biedni globalni pracodawcy? Może wręczą się pod ziemię, żeby założyć spółkę z władzami piekła i eksploatować roboczo potępieńców (ci na szczęście nic nie jedzą, przynajmniej o ile wiadomo). Ale jeśli pominąć te eschatologiczne perspektywy dla biznesu, to czy kapitaliści nie będą jednak zmuszeni do pogodzenia się z tym, że na całej kuli ziemskiej ludzie chcą wyższych płac? Czy nie spełni się więc liberalna utopia, według której globalizacja rozprowadzi po całym świecie rozwój techniczno-gospodarczy, za którym przyjdą rozwój społeczny i wzrost wynagrodzeń dla pracowników, a więc biedacy z całego świata są wyzyskiwani po to, aby ich dzieci miały już godną płacę? Trochę obłądny pomysł i niezbyt logiczny, ale czy właśnie się nie sprawdza?

Nie bardzo. Nie wiem, na ile wzrost płac w Chinach wynika z „burzliwego rozwoju”. Żeby burzliwy rozwój doprowadził

do wzrostu płac, konieczna byłaby konkurencja pracodawców o pracownika, a o ile wiem, w Chinach nadal zabijają się o pracę za głodowe stawki miliony uciekinierów z nędznych regionów wiejskich. Podejrzewam, że wzrost płac jest raczej efektem świadomej polityki chińskiego państwa. Jakiś czas temu rząd chiński uznał, że totalne uzależnienie chińskiej gospodarki od eksportu może być niebezpieczne, i ogłosił, że zamierza je zrównoważyć wzrostem popytu wewnętrznego. Być może właśnie oglądamy pierwsze efekty takiej polityki, chociaż sądzę, że jeszcze na to za wcześnie. Bardziej prawdopodobne wydaje się, że informacje o ucieczce pracodawców są ostrzeżeniem dla Chin ze strony globalnego biznesu – żeby, broń Boże, takiej polityki nie wprowadzały w życie. Na co komu syci Chińczycy?

Ale nawet gdybym się mylił, nawet gdyby globalno-liberalni utopiści mieli rację i rozpędzający się po całym świecie kapitalistyczny rozwój samoistnie podwyższał płace ludziom i pingwinom – to i tak globalno-liberalna utopia się nie urzeczywistni.

Do takego wniosku prowadzi news numer dwa, też zlekceważony przez nasze media. Foxconn (wykonawca iPhone’ów dla Apple) zamierza „zatrudnić” ponad milion robotów, aby zastąpić nimi wykorzystywaną dotychczas chińską siłę roboczą. Philips też przechodzi z Chińczyków na roboty. „New York Times” pisze, że te nowej generacji stały się konkurencyjne (cenowo i „zdolnościowo”) dla ludzkich pracowników w większości branży, nie tylko w produkcji, ale także w dystrybucji.

Jak widać, biedni Chińczycy staną się jeszcze bardziej biedni. Nie chcą się zastanawiać, co będzie z pingwinami. Albo, na przykład, z Polakami. Najważniejsze jest to, że przed biznesem otwierają się nowe różowe perspektywy. Jeszcze bardziej różowe niż te dotychczasowe, ryżowe.

KSIĄŻKI

Z życia klasy próżniaczej

Urodzony w Ameryce Henry James (1843–1916), prozaik oraz klasyk literatury anglojęzycznej, badał w wielkim stylu i z żelazną konsekwencją zawiłości ludzkiej psychiki. Możemy się przekonać o tym sami, bowiem polski czytelnik dostaje w końcu do rąk pierwsze polskie wydanie powieści „O czym wiedziała Maisie” (wyd. Prószyński i S-ka) oraz takie opowiadania jak „Nieżyły narożnik” czy powieść „Plac Waszyngtona” zebrane w obszernym tomie „Opowiadania nowojorskie” (wyd. W.A.B.). Gęsta proza tego wybitnego teoretyka literatury skutecznie wprowadza nas w niuanse i subtelności ludzkich zachowań. Czy nasza emocjonalność różni się tak bardzo od tej z przełomu XIX i XX w.? Jedno jest pewne, w prozie Jamesa dostaje się nie tylko ludziom.

Szkaradny Nowy Jork

Rzeczywiście, w jednej z głównych ról „Opowiadań nowojorskich” występuje Nowy Jork, ale nie jest to rola oscarowa. W mieście gryzą komary, a spacer po Broadwayu to „droga przez piekło”. Dla przybyłej z Włoch malarki w opowiadaniu „Impresje kuzynki” widok z rogiem Piątej Alei jest „szkaradny”, a Central Park to z kolei „przaśne miejsce, robiące tyle min, żeby ładnie wyglądać”. Z resztą samo miasto to miejsce z deficytem „uczuć rodzinnych” – doda owdowiały doktor uznający swoją córkę za tępą osobkę. No i ta „osłepiająca nowojorska zamieć” podczas zimy... Koszmar. Skąd taki obraz miasta, które nie śpi? Pisarz pamięta inny Nowy Jork. Nie może pogodzić się z obrazem rozrastającej się metropolii, która w jego oczach skazana jest już tylko na porażkę. Nie ma się jednak co dziwić, skoro „tutaj nie ma rozsądnych rozwiązań oprócz dolarowych” – stwierdza powracający do miasta Spencer Brydon w „Nieżyłym narożniku”, opowiadaniu o rysie autobiograficznym. Sam opis relacji między bohaterami a Nowym Jorkiem nie jest jednak na tyle intensywny co ich emocje, miłosne dylematy czy kapitalne wręcz charakterystyki bohaterów „Opowiadań nowojorskich”. Lord Lambeth, karykatura Anglika z „Epizodu dyplomatycznego”, nie był młodziem o „pobudliwej wyobraź-

Na orbicie salonowych konwenansów jedni pełnią rolę planet, a drudzy nadal pozostają małymi satelitami – tak o życiu mieszczań na przełomie XIX i XX w. mówi Henry James



Henry James, „O czym wiedziała Maisie”, tłum. Magdalena Moltzan-Malkowska, wyd. Prószyński i S-ka, 328 s.

Henry James, „Opowiadania nowojorskie”, tłum. Barbara Kopeć-Umiastowska, wyd. W.A.B., 584 s.

ni”, ale „mimo swego rodzaju tępoty lśniącej w jego oku robił wrażenie do głębi rozsądnego i sprawnego”. Pamiętajmy jednak, że „Anglicy to wielki naród”.

Amerykanki, Angielki, paprotki

„Sznującą się Amerykanka każdego dnia musi coś kupić” – dowiadujemy się z „Epizodu dyplomatycznego”. Z kolei Catherine, córka doktora Slopera w opublikowanej w zbiorze powieści „Plac Waszyngtona”, jest według jej ojca „mniej więcej tak samo inteligentna jak tobół z pledami”. Chociaż „w wieku dwudziestu dwóch lat była kwiatkiem dość roz-

winiętym, z tych, które da się zerwać tylko silnym szarpnięciem”. Gdy weźmie się pod uwagę status kobiety w tym okresie, której rola sprawowała się do bycia zdobną salony paprotką, nie dziwi aż tak bardzo fakt, że uszczypliwe stwierdzenia wobec mężczyzn są w prozie Jamesa w zdecydowanej mniejszości wobec uwag kierowanych właśnie pod adresem kobiet wtłoczonych w społeczne role. Dotyczy to również powieści „O czym wiedziała Maisie”.

Domowa rewolucja oczami dziecka

Tym razem tłem wydarzeń jest głównie Londyn. Poznajemy sześciolletnią dziewczynkę o imieniu Maisie, która na mocy decyzji sądu ma spędzać pół roku u mamy, a drugie pół u taty, gdyż jej rodzice się rozwodzą. Po pewnym czasie dziecko staje się zarówno kartą przetargową, jak i problemem. Owszem, rodzice są widoczni, ale raczej na horyzoncie, bowiem na plan pierwszy wchodzi ich kolejny życiowy partnerzy. Maisie, jako „nieświadomy katalizator zażyłości między ojczymem a macochą”, jest zarówno narzędziem w walce między dorosłymi, jak i koalicjantką, partnerką w rozgrywkach personalnych. Na naszych oczach ma miejsce „przewrót domowy”, a w wyniku odbywających się ciągle „manewrów” „rozkład się” ulega nieustającym zmianom. W pewnym momencie możemy mieć już jednak dosyć zaistniałej sytuacji, a jednocześnie nie możemy się wręcz nadziwić uporowi dorosłych indywidualistów w realizowaniu kolejnych emocjonalnych bitew. Bolesna powieść.

Zarówno w „Opowiadaniach nowojorskich”, jak i w powieści „O czym wiedziała Maisie” mamy do czynienia z życiem klasy raczej próżniaczej, której przedstawiciele kursują między Anglią i Ameryką albo organizują Grand Tour po Europie. Potem wracają do siebie i toczą gierki o miłość, dzieci oraz pieniądze, lecz także o niezależność. Można się zastanawiać, czy dziś mają dla nas znaczenie ich sposób życia oraz postawy, jakie prezentują. Oni w końcu też żyli w epoce kapitalizmu wolnorynkowego.

WOJCIECH WOJCIECHOWSKI

MUZYKA



Udany owoc nieszczęśliwej miłości

Lianne La Havas płyta rozlicza się z nieudanym związkiem

Na miejscu Joss Stone czułabym się poważnie zagrożona. Podczas gdy ona nagrywa chórk i Jaggera albo zabiera się za „The Soul Session Vol. 2”, za plecami wyrasta jej poważna konkurencja w postaci Lianne La Havas. To 23-letnia brytyjska wokalistka, multiinstrumentalistka i autorka piosenek. Do tego utalentowana i interesująca. Supportowała już Bon Iver i współpracowała z Palomą Faith, a sama twierdzi, że inspirowała ją Erykah Badu. Okrzyknięta przez BBC nadzieją 2012 r. spełniła pokładane w niej nadzieje. „Is Your Love Big Enough” to naprawdę świetna płyta! Zanurzona mocno w soulowym i folkowym sosie, ale wciąż oryginalna.

Lianne La Havas zgrabnie łączy muzyczną wrażliwość z osobistymi tekstami i siłą swojego głosu. A ten głos jest niezwykły. Jakby przydymiony, seksownie nosowy, z intrygującą chrypką i cieniem uśmiechu nawet w smutnych piosenkach. Świetnie brzmi na tle delikatnej muzyki. Jest też do brym uzupełnieniem tekstów La Havas.

Płyta jest, jak sama artystka podkreśla, bardzo osobista: „Całkiem łatwo napisać o bólu, ale powinno się również pisać o swoim szczęściu”. Szczęścia nie pokazuje tu zbyt wiele, za to o toksycznym związku śpiewa wyjątkowo przekonująco.

Bo „Is Your Love Big Enough?” to zapis tego, co działo się w życiu La Havas przez ostatnie trzy lata – niemal wszystkie teksty są swego rodzaju rozliczeniem z przeszłym uczuciem. Cóż, owocem szczęśliwych miłości bywają dzieci, nieszczęśliwych czasem świetne płyty jak ta. W końcu nie tylko kariera Adele i Florence And The Machine zaczęła się od bolesnych rozstań...

JOANNA SOŁTYSIAK, RADIO ZET



Lianne La Havas, „Is Your Love Big Enough?”, wyd. Warner Music

KSIĄŻKA

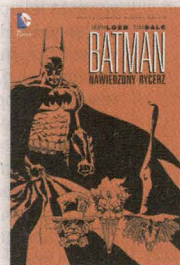
Taki jest Batman

„Mroczny Rycerz powstaje” powoli opuszcza kinowe ekrany.

Nie oznacza to jednak, że batmania dobiegła końca. Nadal można kupić komiksy z Batmanem, wydane w formie ekskluzywnych nowel graficznych



Frank Miller, „Batman: Powrót Mrocznego Rycerza”, tłum. Tomasz Sidorkiewicz, wyd. Egmont



Jeph Loeb, Tim Sale, „Batman: Nawiedzony Rycerz”, tłum. Tomasz Sidorkiewicz, wyd. Egmont



Różni twórcy, „Batman: Najlepsze opowieści”, tłum. Tomasz Sidorkiewicz, wyd. Egmont

ków kariery Batmana skupiają się na jego starciach z drugoplanowymi totami – Strachem na Wróble, Szalonym Kapelusznikiem i Pingwinem. W fabulach Loeba doskonale widać, jak wiele mit Batmana czerpie z poetyki sennego kosmaru, zaś nastrojowe rysunki Sale’a oddają groźbę poszczególnych charakterów, których dowód mieści się w baśniach i światach dziecięcej zabawy. Owe historie czyta się niczym storyboardy do kreskówek przeznaczonych dla dorosłych. Interesujący jest fakt, że opowieści z tego tomu czerpią inspirację z książek Karola Dickensa i Lewisa Carrolla.

„Batman: Najlepsze opowieści” to coś w rodzaju zbioru kamieni milowych wybranych z ponad 70-letniej spuścizny komiksów o Batmanie, przedstawiających jego ewolucję z „pulpowego” herosa do ikony popkultury znanej na całym świecie. To niesamowita gratka dla historyków popkultury i kulturoznawców ciekawych, co Batman musiał przeżyć, by stać się superbohaterem odzwierciedlającym lęki i pożądania zachodniej cywilizacji. Fani komiksów i dobrych historii z pewnością zwrócą uwagę na obecność takich twórców jak Dennis O’Neil, Neal Adams, Marshall Rogers czy Alan Davis, którzy zapisali się złotymi literami w annałach legendy Mrocznego Rycerza. W ich komiksach Batman pojawia się raz jako upiór sprawiedliwości, raz jako przenikliwy detektyw, by w końcu przybrać rolę zdesperowanego rodzica, czekającego na operację ciężko ранego Robina, pomocnika w walce ze zbrodnią. Nie brakuje tutaj również archaicznych opowieści z lat 40. i 50., których infantylizm dzisiaj jest ciężki do przyjęcia.

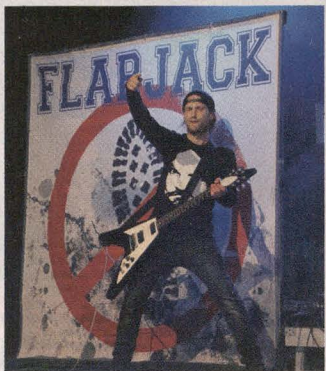
MICHAŁ CHUDOLIŃSKI

MUZYKA

Powrót polskiego Mike’a Pattona

Jeśli „Keep Your Heads Down” miało stanowić o byciu albo nie byciu Flapjacka, to najpopularniejszy polski zespół rapcore’owy może być spokojny o przyszłość

Pierwsza od 15 lat płyta zespołu jest doskonałą odtrutką na muzyczne wypociny Linkin Park, Korn czy Limp Bizkit. Flapjack jest zespołem wyjątkowo brutalnie doświadczonym przez życie. Obok Acid Drinkers i Illusion w latach 90. był najpopularniejszym przedstawicielem ciężkiej odmiany rocka w Polsce. Grupa założona przez Litę, ówczesnego gitarzystę AD (dziś m.in. Luxtorpeda, Kazik Na Żywo), była czymś więcej niż tylko rodzimą odpowiedzią na takie zespoły jak Rage Against The Machine, Pantera czy Biohazard. Zdobyla popularność dzięki dwóm pierwszym – wyjątkowo przebojowym i energetycznym – płytom. Jednak ko-



lejny album – „Juicy Planet Earth”, będący oryginalnym połączeniem rocka z trip hopem, elektroniką i psychodelią – wyprzedził swój czas i okazał się zbyt ambitny dla starych słuchaczy grupy przyzwyczajonych do melodyjnej „rąbarki”. Po niej – mimo uznania krytyków i branży muzycznej (sami muzycy z Faith No More zaprosili Flapjacka na scenę jako support) – zespół targany zmianami składu w końcu zawiesił działalność.

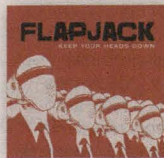
Kilkukrotne próby powrotu kończyły się fiaskiem. Kiedy kapela w końcu nabrała wiatru w żagle z Aleksandrem „Olassem” Medykem, nowym gitarzystą, który stał się również kompozy-

torem lwiej części materiału na nową płytę, ten niespodziewanie zmarł podczas trasy koncertowej Acid Drinkers. Przyszłość Flapjacka znów stanęła pod znakiem zapytania. I pewnie nie byłoby szczęśliwego zakończenia, gdyby nie determinacja perkusisty grupy Macieja „Ślimaka” Starosty, który doprowadził prace nad staro-nowym materiałem do końca. I tak możemy się cieszyć pierwszą od 15 lat płytą Flapjacka, o dziwo wydaną poza wielkimi wytwórniami płytowymi.

O dziwo, bo „Keep Your Heads Down” to jedna z najlepszych rockowych płyt, jakie ukazały się w Polsce w ciągu ostatnich lat. Ciężkie świdrujące riffy, charakterystyczny wokal (od rapu, przez melodeklamację, śpiew, growl i inne dziwne odgłosy), mocna sekcja rytmiczna i przede wszystkim niesztampowe kompozycje sprawiają, że tych 14 petard chce się słuchać raz po raz. Niepotrzebne są nawiązania w warstwie gitarowej do Acid Drinkers z czasów „High Proof Cosmic Milk” i zbytnie oglądanie się na Deftones i Sepulturę z okresu „Roots”. Wszak Flapjack niejednokrotnie udowadnia, że dysponuje własnym stylem, co słysząc w takich utworach jak „Party Never Ends”, czy „BTV”.

Pisząc o Flapjacku, nie sposób nie wspomnieć o Grzegorzu Guzińskim. „Guzik”, nasz krajowy Mike Patton, jest jednym z najbardziej utalentowanych i wszechstronnych wokalistów, który na dodatek nie śpiewa „Roots”. Wszak Flapjack niejednokrotnie udowadnia, że dysponuje własnym stylem, co słysząc w takich utworach jak „Party Never Ends”, czy „BTV”.

JACEK NIZINKIEWICZ

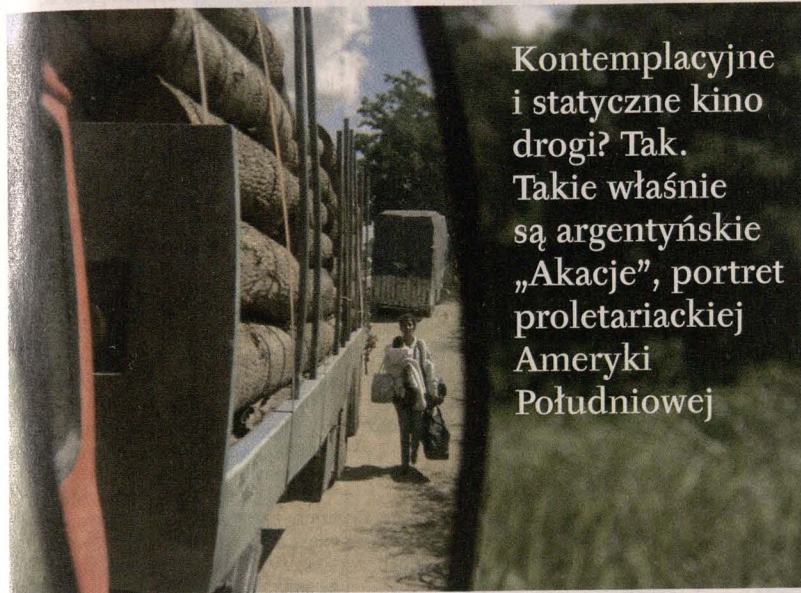


Flapjack, „Keep Your Heads Down”, wyd. Makumba Music

W ubiegłotygodniowej recenzji „Anastasis” Dead Can Dance chochlik drukarski sprawił, że zdanie „Oczywiście duet wykonuje również starsze piosenki, ale i »Song to the Siren« Tima Buckleya – cudo, które Lisa tak pięknie zaśpiewała wiele lat temu na płycie This Mortal Coil...” znalazło się bezpośrednio pod informacjami o płycie. Tymczasem dotyczyło ono planowanego koncertu grupy.

FILM

Prawda bezruchu



Kontemplacyjne i statyczne kino drogi? Tak. Takie właśnie są argentyńskie „Akacje”, portret proletariackiej Ameryki Południowej

Fabularny debiut Pabla Giorgelliego otwiera scena ścinania drzew w lesie. Grupa mężczyzn pracuje ciężko przy wyrębie, ścięte drzewa ładowane są na ciężarówkę. Miłośnikom kina argentyńskiego takie otwarcie nieodparcie kojarzy się z filmem „Wolność” (2001) Lisandro Alonzo, przedstawiającym dzień z życia drwala. Filmem, który ponownie umieścił tamtejszą kinematografię na światowej mapie.

Większość obrazów podążających w świat za obrazem Alonzo dzieliła z nim luźną strukturę fabularną, plebejskich bohaterów i wreszcie zamilowanie do długich statycznych ujęć. Wszystkie te cechy znajdziemy także w „Akacjach”. Giorgelli umiejętnie przywłaszcza sobie tę konwencję, posługując się nią, jakby była jego własna, celnie dobiera właściwe jej formy dla opowiedzenia swojej historii.

Cieleca miłość

W powszechnym mniemaniu geje to wymysł wielkomiejski. Na wsi ich nie ma, a jeśli się nawet przypadkiem trafią, to zaraz uciekają do metropolii

Na przekór temu stereotypowi debiutant Benjamin Cantu nakręcił miłosną historię dwóch chłopaków, praktykantów w gospodarstwie rolnym na południu od Berlina. Wbrew pozorom nie jest to jednak film o dyskryminacji i nietolerancji, lecz o dojrzewaniu emocjonalnym młodych ludzi.

Marko (Lukas Steltner) to małomówny odludek, introwertyk naznaczony ciężkim dzieciństwem. Dobrze pracuje, ale słabo się uczy, ma więc z tego powodu kompleksy. Młodszy od niego Jacob (Kai Michael Muller), z fantazyjną fryzurą na głowie, rzucił robotę w banku, by przerzucać gnój i doglądać krów. Ich wzajemne relacje są początkowo napięte i niezręczne, z czasem jednak chłopcy za-

czynają spędzać ze sobą coraz więcej czasu. Szkopuł w tym, że Marko – chociaż chowany na tonie przyrody – wstydi się własnej natury.

Ta „love story” rozwija się w trakcie pokazanych z reporterską skrupulatnością zajęć gospodarczych (w filmie wystąpili autentyczni pracownicy i praktykanci jednej z niemieckich farm). I właśnie kontrast między dosłownością opisu a subtelnością uczuć stanowi główny atut debiutu Cantu.

Zniwo swojej miłości „wieśniacy” zbiorą jednak w dużym mieście, podczas spontanicznego wypadu do stolicy. Swobodny, tętniący życiem Berlin pomoże im otworzyć siebie i otworzyć się na siebie. Zakończenie

A historia jest bardzo prosta: Rubén, mężczyzna przewożący na ciężarówce drewno z Paragwaju do Buenos Aires, zabiera ze sobą w drogę kobietę z dzieckiem. Jacinta wywodzi się z Indian Guarani. Jedzie do Buenos Aires szukać szczęścia dla siebie i pozabawionej ojca małej córki. Zamieszka u kuzyna, znajdzie (na czarno) jakąkolwiek pracę – i tak da jej to lepszy los niż pozostawienie na paragwajskiej prowincji. Mężczyznę początkowo irytuje pasażerka dołożona z polecenia pracodawcy (matka Jacinty jest u niego sprzątaczką), a jeszcze bardziej ciągle płaczące niemowlę. Stopniowo jednak przyzwyczajają się do ich obecności, zaprzyjaźniają z nimi. W jego stosunku do nich pojawia się przyjaźń, troska, a może i coś więcej. Mężczyzna jest samotny, nie ma rodziny, z synem ostatni raz widział się 10 lat temu – widać, że za jego szorstkością i gburowatymi manierami kryje się potrzeba ludzkiego kontaktu, bliskości.

Wszystko to rozegrane jest w niedopowiedzeniach, półsłówkach. Choć „Akacje” zaliczyć by można do kina drogi, to film jest bardzo statyczny, nie opiera się na figurach ruchu i wielkich przestrzeni. Obserwujemy przede wszystkim wewnątrz sfoferki ciężarówki, w której podróżują bohaterowie, codzienne czynności (jedzenie, odpoczynek, toaleta) w miejscach, gdzie zatrzymują się na trasie. Tak, jakby w montażu zachowane zostały tylko te sceny, które na ogół wylatują nie tylko z hollywoodzkiego kina drogi.

W tym banale, rutynie i bezruchu reżyserowi oraz świetnie prowadzonym przez niego aktorom (Germán da Silva i debiutująca na ekranie Hebe Duarte) udaje się jednak uchwycić prawdę intymnej międzyludzkiej relacji. Ale i pokazać szerszy, społeczny portret innej Ameryki Południowej – niebiałej, proletariackiej, żyjącej w świecie – niż ta wielkomiejska, niewiele różniąca się od europejskiej klasa średnia, której głos słyszymy na ogół w kinie czy literaturze regionu.

JAKUB MAJMUREK



nie przesądza sprawy, jak kochankowie zostaną przyjęci przez lokalną społeczność. Jakby nie patrzeć, są to laickie, cywilizowane Niemcy, więc nie widzą powodu do wielkiego niepokoju. W Polsce taka historia miałaby zapewne bardziej dramatyczny przebieg.

MATEUSZ CHOJNACKI

Akacje, reż. Pablo Giorgelli, Argentyna – Hiszpania 2011, premiera 24 sierpnia

Zniwa, reż. Benjamin Cantu, Niemcy 2011, premiera 24 sierpnia, dystrybucja Tongararo

GRA

Smok – pożeracz serc

Stworzona przez japońskie studio Capcom gra RPG (Role Play Game) „Dragon's Dogma” jest typowym przedstawicielem tego gatunku

Mamy tu ogromną mapę do eksploracji, zadania do wykonania i masę przeciwników do pokonania – począwszy od zwykłych rzeźmieszków, przez różne drobne kreatury, na sporych golemach i gigantycznych smokach kończąc. Z tymi ostatnimi stworami łączy gracza specyficzna więź, bowiem nadmorską wioskę, w której mieszka główna postać historii, nawiedza niespodziewanie jeden z nich. Stając do walki, bohaterka lub bohater naraża się na niebezpieczeństwo i płaci – wydawca by się mogło – cenę najwyższą: smok pożera jego/jej



serce. Dziwnym trafem nie kończy się to jednak śmiercią, a jedynie blizną i początkiem długiej podróży jako Arisen – Powstały/Powstała.

Ci, którzy grali kiedyś w tytuły takich serii jak „Elder Scrolls” czy „Gothic”, wiedzą, że nie ma większego sensu

rozpisywać się o cechach postaci, gdyż to sami gracze wybierają umiejętności, których się uczą i które rozwijają. W „Dragon's Dogma” do dyspozycji gracz otrzymuje także edytora głównej postaci, gdzie możemy wybierać z dostępnych wzorów wzrostu, postury, ko-



„Dragon's Dogma”, Capcom, 220 zł, (PS3, X360) PEGI: 18

loru skóry, oczu, grubości brwi i wielu innych cech.

Od początku tej przygody jesteśmy traktowani przez otoczenie z dużym szacunkiem. Najlepszym na to dowodem jest oddanie pod naszą władzę tzw. pawnów, czyli w dosłownym tłumaczeniu pionków. Są to różnorodne postaci, z których możemy stworzyć własny zespół dzielnych wojów.

W tej grze zdarzają się drobne techniczne niedociągnięcia. Ale na duży plus zaliczam łatwość w zmianach składu własnej grupy i wyborze sposobu rozwoju umiejętności jej członków. Ciekawy jest też tryb online, gdzie gracze z całego świata mogą m.in. wymieniać się własnymi pionkami.

Zatem czytelniku, jeśli masz dużo czasu, trochę pieniędzy i zastanawiasz się, w co by tu pograć w stylizację światów fantasy, śmiało próbuj ze smoczym dogmatem.

ADAM SZYMZYK

BIBLIOTEKA MAŁEGO CZŁOWIEKA

Zwierzęta dziwne, ale zadowolone

Mrówkojad i orzesznica organizują konkurs na najdziwniejsze zwierzę. Zgłoszenia napływają ze wszystkich stron świata.

„– Czy słoń jest dziwny, czy nie jest? Mrówkojad zastanowił się. – Ha! – zakrzyknął po chwili. – A trąba? Sama przynasz, że trąba jest dość dziwna. Orzesznica skrzywiła się. – Dziwna jak dziwna. Jej widok, musisz przyznać, nie jest zaskakujący. Wszyscy przecież wiedzą, że słonie mają trąby. W szczególności trąby. Dziwny to dopiero byłby słoń bez trąby”.

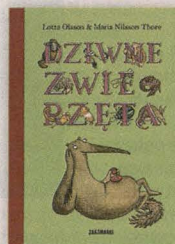
Do grupy „dziwnych” w tej książeczce zapisują się dziobak, pangolin łuskowiec, nosacz, grzywacz chiński nagi, a także żuk gnojowy, jeź i świnka morska. Wszystkie zwierzęta robią atut ze swojej inności i podkreślają walory dziwności.

Książka Lotty Olsson to bardzo zabawnie opowiedziana historia z komicznymi dyalektami i refleksjami głównego bohatera – mrówkojada – w tle. Do tego jego przyjaciółka orzesznica zadziwia czytelnika swoją nowoczesnością – by być „onlain” zaprzyjaźnia się z pajakiem i od tego czasu wszystko wrzuca do sieci.

„Dziwne zwierzęta” zdobyły w 2011 r. prestiżową szwedzką Nagrodę Augusta w kategorii Książki dla Dzieci i Młodzieży. Z pewnością spodoba się tym, którzy pokochali „Zwierzęta cudaki” Bibi Dumon wydane w ubiegłym roku przez wydawnictwo Dwie Siostry. A także wszystkim tym, którzy mają jakiś problem ze swoimi piegami, odstającymi uszami czy zbyt dużymi nosami.

MONIKA JANUSZ

W każdą niedzielę
w poranku
familijnym RdC
(Polskie Radio
dla Ciebie)
autorka prowadzi
cykl o książkach
dla dzieci:
„Mamy czytamy”



Lotta Olsson, Maria Nilsson Thore,
„Dziwne zwierzęta”,
wyd. Zakamarki, 104 s.

WIERSZ PRZEKROJU

RUBRYKĘ PROWADZI MARCIN ORLIŃSKI

Marta Podgórnik

Laudacja na Wybrzeżu

Dla R.H., E.P., M.S.

Połączyć Was w dedykacji. Bo nie poszlibyście razem na piwo. Podziękować jurorom, jakby na tym świecie coś zależało od nich. Położyć się, zapalić. Już nigdy nie chodzić na wiadukt. Nie siedzieć na schodach. Nie patrzeć na rzekę, mieć pod stopami heblowaną kładkę. Zdążyć na przesiadkę na Dworcu Centralnym. Wręczyć bratu kartkę, niech już zawsze kończy osiemnaście lat. I podziękować światu. Miły, jak na świat.

Połączyć Was w dedykacji, bo ze mną jednak chodzicie na piwo, na tequilę, na plażę i na papierosy. Są taksówki, hotele, samoloty, statki i dancingi w niszowych hotelach na statkach. Żyć nie umierać. Heblowana kładka.

AUTORKA O SOBIE:

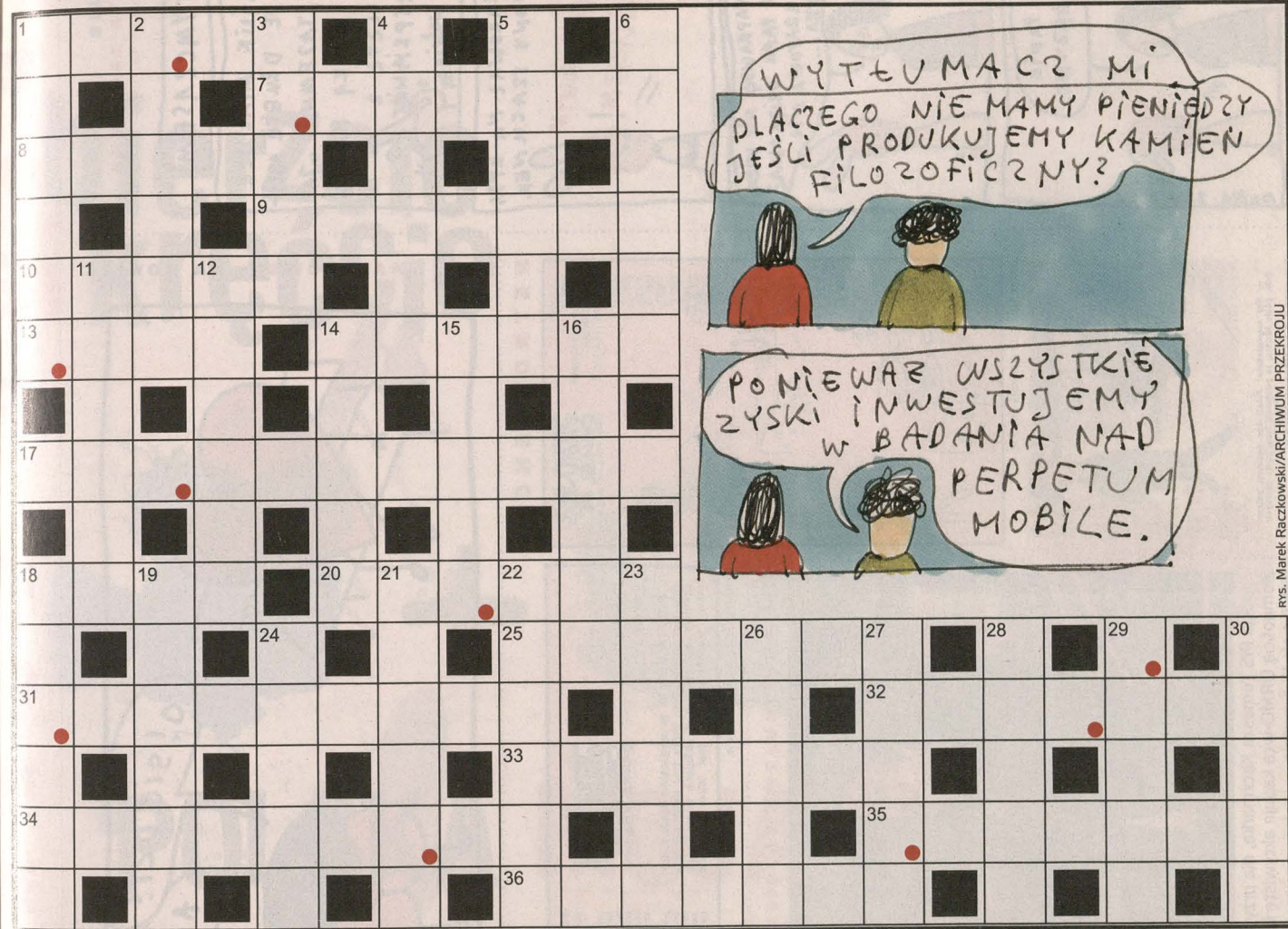
Marta Podgórnik – poetka, krytyczka, wykładowczyni warsztatów literackich, redaktorka we wrocławskim wydawnictwie Biuro Literackie. Autorka siedmiu książek poetyckich oraz autorskiego wyboru wierszy Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej. Tegoroczna laureatka Nagrody Literackiej Gdynia.



ROZMAITOŚCI: KRZYŻÓWKA NR 35

Litery z oznaczonych pól czytane poziomo utworzą rozwiązanie.

PRZYGOTOWUJE:
ZESPÓŁ KALIBER 45



POZIOMO:

1. ODDASZ MU FUTRO BEZ ŻAŁU
7. NIEMILE WIDZIANE W ŁÓŻKU
8. PIES W OWCEJ SKÓRZE
9. ZABAWY STARSZYCH PANÓW
10. LEKCJA WYCHOWAWCZA
13. CZY STOISZ, CZY LEŻYSZ,
17. SPADANIE ZE STOPNI
18. MIĘSNY JESZ
20. MÓWKA SZTUKA
25. POCZĄTEK KOŃCA
31. MOŻESZ JĄ ROZKMINIĆ WE DWÓCH
32. DĘTYSTA
33. DZIECKO CYGANA
34. KOŚCIELNY LUB CYWILNY
35. PROSI O PAPIEROSA NA PLAŻY
36. KOLOR PURPURY

PIONOWO:

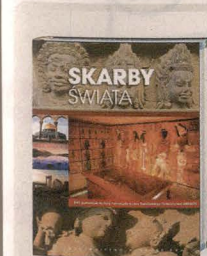
1. DROGI NAD BAŁTYKIEM
2. GRUPOWY W SALONIE
3. SŁOWNA
4. DZIEWCZYNA
5. NIE OBCHODZI
6. IMIENIN JANA
7. GDZIE SIĘ CHOWA
8. LUDZI
9. KAZANIE
11. TRÓJKA Z MUZYKI
12. BŁĄKA SIĘ W WIADRZE
14. WIOCHA NA WSI
15. ŚRODEK NA ROBAKI
16. WYDAWANIE PIENIĘDZY
18. WEJŚCIE KROWY
19. KOSMICZNE IAJO
21. POWTÓRKA
22. Z ROZGRYWKI
23. ZWIAŁA
24. MARYNARZOWI
25. POLITYKA NIE WPROST
26. CEL NATARCIA
27. CZYM KLATA BOGATA
28. PIES NA SQUAW
29. RAK MA KUZYNA
30. ZŁOŻONY NA OLTARZU
31. NIETRWAŁY STOP

ROZWIĄZANIE Z NR. 32/33

KRZYŻÓWKA: DALEKI PATROL

POZIOMO: 1. NIESIONY DO LOMBARDU – WYKUP 7. ZAMIESZKA – ROZRUCH 8. RYZGA KAPUŚNIAKIEM – RYNNIA 9. PŁYTY Z TAŚMY – SZTAMPA 10. MIĘDZY STRONAMI – UMOWA 13. SŁONINA NA WAGĘ – TONA 14. KOBIETA WZIĘTA DO WOJSKA – BRANKA 17. ROŚNIE POD PACHĄ – TEMPERATURA 18. RADIO, KTÓRE USYPIA – ETTER 20. DO WNIESIENIA PRZEZ OKIENKO – OPLATA 25. POTARŁO – NARYBEK 31. TRÓJKA MARKA NIEDŹWIECKIEGO – SIEKACZ 32. CIENKI OGÓREK – MIZERIA 33. BUTY NA DOBRE I NA ZŁE – DREWNIKI 34. BUTELECKA MAGII – ELIKSIR 35. W KINIE SAMOCHODOWYM – EKRANIK 36. WIDOCZNA WIĘKSZOŚĆ – OKAZAŁOŚĆ

PIONOWO: 1. UDERZENIE PIOLUNA – WERMUT 2. W SZWAJCARII PEŁEN DZIUR – KANTON 3. DO PIERWSZEGO TŁOCZENIA – PRASA 4. DROGI MATERIAŁ – SZUTER 5. BATMAN – FURMAN 6. BŁOTA POLSKA JESIEŃ – CHŁAPA 11. CHWIŁA W KINIE – MOMENT 12. PIJE PO NOCACH – WAMPİR 14. PADA NIEDALEKO OD JABŁKA – BERŁO 15. JEGO WINA – ANTAL 16. CZTERECH DO POKERA – KARETA 18. BYŁY INCYDENT – EKSCES 19. ŻAŁ SŁUCHAĆ – ELEGIA 21. STARE PUDŁO – PUZRO 22. PRACUJE W RADII – ANTENA 23. OWOC Z NUTKI – ARONIA 24. TE Z RATUSZA – RAUSZ 26. BITE PIĘĆ MINUT – BRAWO 27. ZAMIAST BYĆ WYBRAŁ MIEĆ – KMIĘĆ 28. CIEMNOŚĆ WIDZĘ – CZERN 29. IDZIE ZA TRĄBĄ – FRONT 30. ZIELONA BIEDRONKA – ŻABKA



Nagrodą w tym tygodniu jest książka
„Skarby świata.”
890 pomników kultury i przyrody”

Wydawnictwa Naukowego PWN

Wygraj jedną z 10 książek.

Rozwiązania należy przesyłać

NA KARTCE POCZTOWEJ

na adres: Presspublica sp. z o.o.,

ul. Prosta 51, 00-838 Warszawa,

z dopiskiem: „krzyżówka 35”.

Na prawidłowe rozwiązania czekamy

do 2 września 2012 r.

(decyduje data stempla pocztowego).

LAUREACI Z NR. 31

Maria Wasilewska, Kędzierzyn-Koźle; Danuta Haczekiewicz, Łańcut; Ala Hasiec, Dzierżoniów; Izabela Kowalska-Wieczorek, Toruń; Róża i Waldemar Nowakowie, Suchy Bór; Elżbieta Zaręczny, Piława Górna; Marta Bruzda, Kraków; Bolesława Kozicka, Radłów; Anna i Jan Moras, Wrocław; Jarosław Szwałko, Warszawa

Presspublica sp. z o.o. jest organizatorem konkursu z nagrodami rzeczowymi. Aby wziąć w nim udział, należy w trakcie trwania konkursu prawidłowo rozwiązać krzyżówkę publikowaną w tygodniku „Przekrój”. Rozwiązanie krzyżówki należy przesyłać na kartce pocztowej na adres redakcji. Zwycięzcy zostaną wyłonieni po zakończeniu konkursu w drodze losowania. W przypadku wygranej imię i nazwisko laureata oraz miejscowość jego zamieszkania zostaną opublikowane w tygodniku „Przekrój”. Udział w konkursie i przesłanie kartki pocztowej z rozwiązaniem krzyżówki są jednoznaczne z wyrażeniem zgody na przetwarzanie danych osobowych. Dane osobowe nie będą udostępniane innym podmiotom.



patronuje

PRZE
KROJ

bierzcie i kręćcie

prezentuje konkurs:



+



=



POLSKA MOJA MIŁOŚĆ

Pokaż nam w max. 5-minutowym filmie,
za co kochasz Polskę i wygraj wyjazd do Brazylii!



Zgłoszenia do 21.10.2012

więcej na www.bierzcieikreccie.com

PARTNERZY



Konsulat Federacyjnej
Republiki Brazylii
w Małopolsce i na Śląsku



PATRON MEDIALNY



ORGANIZATOR

Stowarzyszenie Sztuki
Niezałejnej i Nie Tylko
OFF CAMERA

SPONSOR



Z N O W U R O Z M A I T O S C I

RYSUJE
MARTA ZABŁOCKA

TYM CZASEM

Królik miał też
swoje drugie gli-
cze, tajemne "ja",
pod maską królika
walczył z
nieprawa i
oli walczył

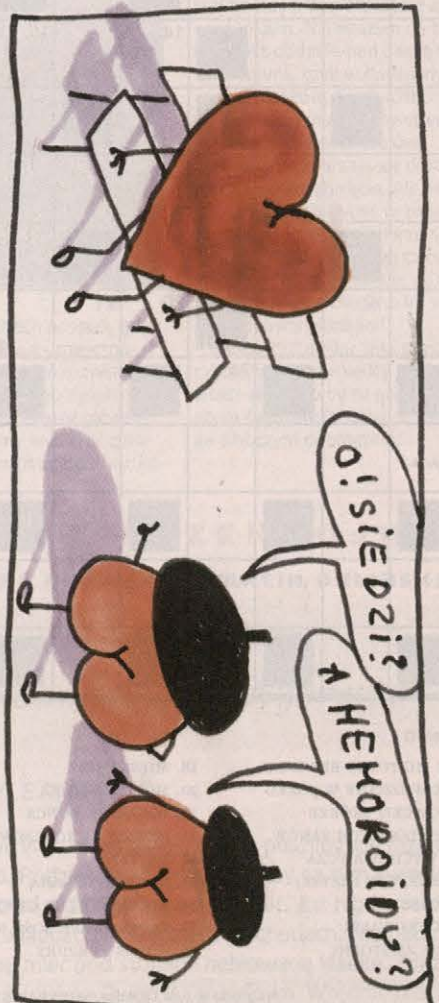
I PRACOWAŁ NA UPRA-
GNIOWY SZACUNEX.
BYŁ
MARCEWIOUWYM
MŚCICIELEM!

...naprawdę nie wiem,
jak pawa dzikować
za ułatomą nie
kotką...

...Pawie
waczyno.

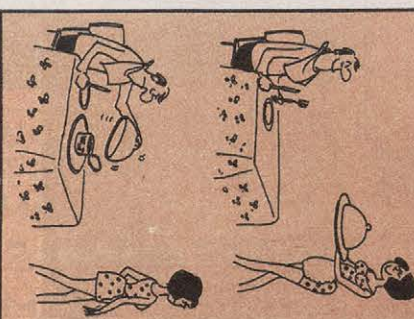


RACZKOWSKI NA KONIEC



RETROSPEKCJA

DAR
PIA FRANCISKA
Z TROJNICKA
"PARIS MARCIE"



"PRZEBÓJ" z 27 SIERPNIA 1972 R.



"PRZEBÓJ" z 31 SIERPNIA 1972 R.

NIE PUBLIKUJEMY ZDJĘCIA...

PARYŻKA
z brzydą
PODŁĄŻE: Zofia B. to oryginalna dula z ju-
cni, juchowistka, która bywa poła i u nas
znajdzie zwolenników. W sklepach wazywanych
mamy właśnie paprykę, jest także sezon na
owcą brzydą. Olo propozycja dla amatorów
plastycznej kuchni.
Kuchnia: Owca brzydą (indziej, wydaję się
kuchnia) na 30 dni brzydą. Napięcie tym pa-
mawianym oliw. Połać smiełną i pod przy-
ciem dale w korym piekarniku. Jaka z stem-
KODOWIEZET: P. Albie A. z wazawą w sprawie
poważnym, nie mażymy, nie mażymy, nie mażymy,
ki sposób wyraża się w domu mody pitne pize
twor. III w 100.



Adam Guz/REPORTER

...posła PIS Tomasza Kaczmarka, dla przyjaciół - agenta Tomka, który z nie-
złomnością ORMO-wca kapuje aktywiście konopnego organom policyjnym. Ja-
kich już nie jest częścią.

KINOTEATRZYK
PRZEMKA JURKA

Mroczny
Rycerz
powstaje

Z KRAJU:
Wczoraj w Ciechanowie
doszło do nieudanego,
zakonczanego szybkim
aresztowaniem napadu
na bank. Rabusiem okazał
się jeden z bankowych
kasjerów, fan twórczości
Christophera Nolana. Węz-
czyzna był przekonany, że
maska zastępująca górną
część twarzy i niski, niena-
turalnie zachrypnięty głos
zapewnią mu absolutną
anonimowość. Gdy usy-
szał od prokuratora, że
film o Batmanie to „tylko
komiks o gościu w pelery-
nie” oznajmił z powagą,
że z większości recenzji
od lat wynikało coś zupeł-
nie przeciwnego. Część
poruszonych publiczności
zgodziła się odsiedzieć
karę za pechowca. To-
masz Raczek nie.

MYŚNIK
KRZYSZTOFA BILICY
Rzeczownik
„samotność” nie ma
liczby mnogiej.
Jest samotny.

Kamienice Krakowskie



Tylko do końca września...



...promocyjne ceny!



*Kamienica Rodowa Gryf
...już w sprzedaży!*



*Kamienica Herbowa Katowice
...zarezerwuj już teraz!*

W naszej ofercie posiadamy również lokale usługowe w cenie za m² od 6.300 zł + VAT.

Wszystkim naszym Klientom gwarantujemy obsługę notarialną i opłacamy takse notarialną.

Ceny mieszkań zaczynają się od

5.985 zł brutto za m²

Zapraszamy na rozmowę przy filiżance pachnącej kawy do nowej siedziby Działu Sprzedaży przy ul. Wrocławskiej 53.
Czekamy na Państwa od **WTORKU do NIEDZIELI**.

tel. 12 633 86 40, fax. 12 633 15 40 wew. 108

www.mieszkaniowy.as

